

Leszek Orłowski
Łódź

Pamięć o wojnie ciągle żywa

W 2011 r. „Zeszyty Wiejskie” (XVI) zamieściły mój tekst „Walki na przyczółku sandomiersko-baranowskim w 1944 r. we wspomnieniach mieszkańców Lisowa”. Były to wspomnienia moich Rodziców i niektórych mieszkańców Lisowa o tamtych tragicznych dniach, spisane przeze mnie na konkurs rzeszowski „Nowin”, ogłoszony w czterdziestą rocznicę owych walk. Publikacja w wydawnictwie uniwersyteckim umocniła mnie w przekonaniu, że pamięć o losie frontowym ludzi z mojej wsi to ważna sprawa – historycznie i społecznie. Postanowiłem powrócić do tematu i poprosić o wspomnienia także innych mieszkańców; wszak to nieszczęście dotknęło wszystkich bez wyjątku. Moi rozmówcy z roku 1984 mieli w czasie owych wydarzeń historycznych trzydzieści-czterdzieści lat. Wspomnienia napisane w 2016 r. lub wysłuchane w 2017 r. pochodzą od osób, które front i wysiedlenie przeżyły jako kilkunastoletnie dzieci; niektóre są przekazem pamięci zachowanej w rodzinach.

Zebrane wspomnienia mają swój początek w tym, co mi się przytrafiło w latach chłopięcych. Przyniosłem ze szkoły wszy we włosach. Kiedy Mama przeszukiwała mi swędzącą głowę, pierwszy raz wspomniała frontowy czas. Opowiadając o tym, zapłakała. Upływały lata, a słowa: „front, wszy, głód, strach i śmierć” wracały przy różnych życiowych sytuacjach: a to w drodze do kościoła przed męczennicki wawóz, w którym „mieszkaliśmy”, uciekając w stronę Wisły; a to jadąc na pole do Sadłowic, obok Kiljańskich i Szemrajów, gdzie był poniemiecki bunkier – nasze mieszkanie po powrocie z wysiedlenia, a to przy kolejnym zawadzeniu lemiesza pługa o rozerwaną łuskę pocisku, fragment taśmy po nabojach; a to przy okazji pytań: „dlaczego to oczko wodne na łące obrośnięte trzcina nazywa się bomba?”, „co to za kółka, które powstawiane w ziemię, zachodzące na siebie, czasem pobielone wapnem zastępują płotek wokół małego ogródka z kwiatami?”, „a te lśniące metalowe gilzy przy capigach pługa, to dziwne korytko z wodą dla kur?”.

Powoli narastała świadomość, że chodzę po ziemi i żyję wśród ludzi, których spotkał okrutny los. Niczym nie zawiniony. Bezbronni, zaskoczeni znaleźli się w środku zaciętych frontowych walk niemiecko-rosyjskich w sierpniu 1944 r. W Lisowie front i wojna są dokładnie rozróżniane. Wojna to obecność Niemców w powiecie, w gminie; od czasu do czasu we wsi; ich rządy, porządek, kontygent, kary, dowolne dysponowanie ludźmi, czasem egzekucje. Jak w Warszawie. Skąd to skojarzenie? Bo do Warszawy za okupacji wozili mięso Walenty Kmiecicki

i Kazimierz Orłowski. To w Warszawie i w Lisowie sierpień i kolejne miesiące tego roku znaczyły pożary, głód, wszy i śmierć. W Warszawie i w Lisowie najokrutniej doświadczona była ludność cywilna. Ilekroć 1 sierpnia w stolicy wyją syreny i zatrzymuje się ruch uliczny, uświadamiam sobie ze ściśniętym gardłem, że w tamtym sierpniu w Malicach nie było odpustu na Zielną.

Narastało we mnie poczucie odpowiedzialności za to, aby pamięć o tamtych dniach, tamtych ludziach nie została zaorana, bo lisowiakom ta pamięć należy się podobnie jak Warszawie.

Mieczysława Kasińska, rocznik 1929, wspomnienia wysłuchane.

Przyszedł sierpień 1944 r. Zaczynał się niepokój, a potem tak silna strzelanina, że uciekliśmy do piwnicy do Gradów. W tej piwnicy było nas podobno 40 osób i przebywaliśmy tam około dwóch tygodni. Wkrótce nie było co jeść. Dziewczynki wysyłano po owoce z drzew, ale nadlatujący samolot puścił do nas serię i uciekliśmy.

Raz zaglądali do piwnicy Rosjanie i pytali „germaniec jest?“, za niedługo zjawiali się Niemcy i pytali: „rus jest?“. Ludzie powypuszczali z obór i z chlewów świnie i krowy; zwierzęta wystraszone pałętały się po podwórkach i po drodze; trafiane pociskami lub odłamkami padały, rozkładały się w sierpniowym upale i smród był okropny. Co raz mówiono, że kogoś zabito. Zginął wtedy Jan Stępień, Stanisław Orłowski. Mężczyźni starali się wzmocnić piwnicę belkami z rozwalonych domów, ale przez to stawała się bardziej widoczna i częściej ostrzeliwano ją z samolotu.

Z tej piwnicy uciekliśmy na koniec wsi do stryja Franka, ale tam piwnica już była zniszczona, więc uciekaliśmy dalej na stronę rosyjską w kierunku Studzianek, w grupie kilkunastu osób. Padające blisko nas pociski zasypywały nas ziemią, ale nikt wtedy nie zginął. Dotarliśmy do Koćmierzowa, bo tam była rodzina Rzetelnych. Dali nam jeść, a spaliśmy po prostu na ziemi w ogrodzie. Potem rozeszliśmy się po wsiach. Razem z nami był Gabriel Orłowski i Włodek Barbach. Już wcześniej Gabriel z Zosią byli u nas, bo matka ich gdzieś wyfrunęła, a ojciec zajmował się handlem i często wyjeżdżał. Potem matka wróciła, zabrała Zosię, a Gabriel nadal był z nami.

Z Koćmierzowa poszliśmy do Ostrołęki; tam poszło więcej rodzin z Lisowa. Gabriel przeniósł się do innej wsi, w której mieszkała córka gospodyni. My zostaliśmy w Ostrołęce. Do listopada spaliśmy w stodole u gospodarza. W dniu święta rewolucji oficer rosyjski polecił gospodarzom, aby wzięli nas do domu. Od tej pory spaliśmy w jednym pokoju w sześcioro, na rozścielonej na podłodze słomie, pod łachmanami. Trochę żywili nas gospodarze, ja pasalam ich krowy, za co dostawałam trochę mleka, a czasem i kawałek chleba, a mama pomagała gospodyni w kuchni przy różnych pracach.

W pobliżu był bezpieczny już dwór i stała tam sterta z rzepakami. Kmicicki Stefan z rodziną też przebywał w tej wsi. Był bardzo zdolny i posiadał wiele praktycznych umiejętności. Własnoręcznie zrobił jakąś najprostszą olejarnię i z pomocą innych wysiedlonych młócili rzepak i tłoczyli olej. Gdy na kolację mieliśmy olej z cebulą i kromkę chleba, to było już dobrze.

Miejscowi gospodarze nie bardzo wierzyli nam, że uciekliśmy przed frontem i śmiertelnym zagrożeniem. Ja pracowałam przy zakopywaniu poniemieckich okopów przy samych wałach wiślanych. Za pracę dostawałam kartkę na chleb. Szłam z tą kartką do odległego o 6 km Sandomierza i wykupywałam chleb. Sołtys był porządnym człowiekiem, a poza tym miał syna w moim wieku i dał nam do pracy małe łopatki. Słyszałam, że żołnierz radziecki zgwałcił dziewczynę. Kiedy o tym dowiedział się dowódca, zastrzelił sprawcę. W sąsiednim domu mieszkał Ignacy Kasiński z rodziną, a 3 domy dalej Jan Janik z żoną i Kazią – bratanicą mojej Matki. Jak ruszył front w styczniu, to mężczyźni natychmiast udali się do Lisowa, a dzieci i kobiety jeszcze zostały.

Prawdopodobnie na przełomie lutego i marca wszyscy wróciliśmy do Lisowa i zamieszkaliśmy w obszernym niemieckim bunkrze na polu Chodurskiego, prawie dokładnie w tym miejscu, gdzie przed wojną stał wiatrak. Było nas tak dużo, że gdybyśmy wszyscy stanęli, toby zabrakło miejsca. Razem z nami w tym bunkrze było niemowlę Edka Kasińskiego, urodzone w lutym. Mężczyźni próbowali znaleźć dla siebie miejsce w piwnicy Franka Kasińskiego – poważnie zniszczonej w walkach sierpniowych. Dokonali jakichś napraw, ale i tak musieli siedzieć tam w kucki. Wyrąbывaliśmy zamrożone buraki cukrowe, z których robiono bimber. Coś można było za ten bimber kupić. Mieszkaliśmy tam przez zimę. Pamiętam wyraźnie taki moment: to był marzec. Wysłałam z bunkra, a tu takie piękne słońce, a ja nie widziałam słońca od sierpnia. Spojrzałam w górę i pomyślałam: „Boże jak cudnie to słońce świeci”.

Zboże nie zostało zebrane w sierpniu i stało na polach w mendlach. Była inwazja myszy; były wszędzie – na polu i w bunkrze, dosłownie kapwały na nas. To było okropne. Na ziemi w bunkrze stawialiśmy naczynia z wodą i po nocy woda była czarna od pcheł. Niemcy dla dodatkowego zabezpieczenia przed pociskami położyli na strop pierzyny i przysypali je ziemią. Mężczyźni odkopywali te pierzyny, kobiety suszyły pióra, odrzucały przegniłe kawałki poszew, jakoś je latały i pod tym spaliśmy. Wszędobyłskie wszy były w głowach i na ubraniach.

Wieś była spalona. Wojska celowo paliły zabudowania, a nawet zboże w mendlach, aby nie ukrywali się w nich przeciwnicy i by była większa widoczność pola walki. Robiły to obie walczące strony.

Na wiosnę Wesołowscy pozwolili nam wprowadzić się do ich domu. Dom miał zawalony dach, ale stały ściany i chyba stały mury, bo jakoś tam gotowano. Poprawiono dach i dało się mieszkać, chociaż po dużym deszczu lało się do środka. Kiedy w sierpniu uciekliśmy z piwnicy, to tam nadal zostali starsi ludzie: moi Dziadkowie, Rzetelny z żoną i Sroczyzna. W piwnicę trafił pocisk. Poraniło moich Dziadków. Dziadek był ranny w nogę, ale chyba nie tylko, a Babcia miała poranioną głowę, pozrywane mięśnie twarzy, poranione oczy – bardzo słabo widziała, uszkodzone struny głosowe i do końca życia jej twarz miała odcień granatowy.

W pierwszym roku po froncie było bardzo trudno. Wsie przyległe: Sadłowice, Studzianki, Męczennice, Nikisiałka były bardzo zniszczone. Przyrodnia siostra Babci Katarzyny, Siwecka z Wojciechowic, pożyczyła Tacie pszenicy na pierwszy obsiew. To była znacząca dla nas pomoc.

Mieczysław Mierzyński, rocznik 1931, wspomnienia napisane.

Najbardziej tragicznie w moim życiu, jak również mieszkańców Lisowa, zapisał się rok 1944. Wojska rosyjskie przekroczyły Wisłę i zdobyły Sandomierz. Armia rosyjska wkroczyła w głąb województwa. Wieś Lisów w połowie okupowana była przez Niemców, a w połowie przez wojska rosyjskie. Ciężkie boje toczyły się w dzień i w nocy. Ludność wsi schroniła się w ziemniaczanych dołach, murowanych piwnicach i w nieco wcześniej przygotowanych ziemiankach. Nasza rodzina uciekła do schronu przygotowanego na polu Wesołowskiego Jana. W środku były już w nim rodziny: Wesołowskich, Rumińskich, Kmicickich i Sojów.

Z polecenia Niemców przesiedleńcy z poznańskiego, znający język niemiecki, poinformowali nas któregoś dnia, że wszyscy mamy stawić się w stodole Kasińskiego Jana. Wkrótce nadleciały samoloty niemieckie, zbombardowały i doszczętnie spaliły tę stodołę. Na szczęście ludzie nie posłuchali polecenia Niemców.

W którymś dniu sierpnia Niemcy wypędzili nas z ukrycia na pole Wesołowskiego. Baliśmy się, że nas zastrzelą. Bezradni, nie mając innego wyjścia, schroniliśmy się w murowanej piwnicy Jana Grada. W tym pomieszczeniu też już było parę rodzin z małymi dziećmi. Głodne i niewyspane krzyczały, matki wychodziły z nimi na zewnątrz na krótko. Z tej piwnicy Zbyszek Adamczyk wyszedł do pobliskiego sadu zerwać owoce. Wybuchł pocisk, został trafiony, przybiegł do piwnicy, upadł i skonał.

Pamiętam taką scenę, kiedy wyszedłem z piwnicy na podwórko Grada i zobaczyłem leżącego rannego żołnierza rosyjskiego. Podbiegłem do stojącego niedaleko żołnierza i wskazałem na rannego. Ten popatrzył i powiedział, że to „jewrej”. Krzyknąłem z całych sił po raz drugi, wówczas żołnierz podszedł do rannego, rozpiął zakrwawioną bluzę, wyjął z sakiewki opatrunek, owinął mu klatkę piersiową i krzyknął – „wstawaj!”. Ponieważ nie wstawał, wziął go pod pachy i postawił na nogi. Ranny chwycił go za szyję i odeszli. Tego samego dnia, na drodze obok swojego domu, na drodze został zabity Stanisław Rumiński.

Pewnego dnia poprosiłem Matkę o chleb dla psa. Mama ukroiła kromkę i ja zadowolony wybiegłem z piwnicy i pobiegłem w stronę naszego domu. Wzdłuż drogi do Rumińskiego leżeli rosyjscy żołnierze z bronią przygotowani do walki. Gdy przebiegałem obok nich, jeden krzyknął po rosyjsku, abym nie biegł w tamtym kierunku, bo mnie Niemcy zabiją. Nie posłuchałem go, lecz biegłem jeszcze szybciej i za chwilę byłem na miejscu, a pies z radości szczekał, lizał mnie po rękach, gryzł po nogach. Wziąłem go na ręce, dałem kromkę chleba, a on dosłownie ją połknął. Za chwilę musiałem wracać. Chciałem zabrać psa ze sobą, ale mi na to nie pozwolił. Gryzł moje ręce do bólu, drapał pazurami, musiałem go zostawić. Wróciłem tą samą drogą, a żołnierz rosyjski pogroził mi szerokim pasem wojskowym.

Dalsze przebywanie w tych warunkach groziło śmiercią głodową. Płonęły domy, obory, stodoły; ryk i krzyk palących się zwierząt jest nie do opisania. W upalny dzień sierpniowy boso, bez ochronnej odzieży, pozostawiając cały dorobek życia opuściliśmy Lisów, udając się do rodziny Matki w Jugosławie – Gołębiowskich. Tam w pomieszczeniach już były inne rodziny z Lisowa i rosyj-

skie wojsko. We wrześniu dowództwo rosyjskie kazało nam opuścić zajmowane pomieszczenia, przeznaczając je dla żołnierzy, a pomieszczenia gospodarskie na składy broni i amunicji. Na polach odpoczywało tysiące żołnierzy, którzy wrócili z walk z Niemcami. Głodnym żołnierzom zrywaliśmy jabłka z drzew, a oni nam serdecznie dziękowali. Za parę godzin pojawiła się kuchnia polowa; żołnierze otrzymali gorącą zupę i dzielili się z nami.

Z Jugoszwowa poszliśmy do Koćmierzowa w powiecie sandomierskim. Przyjął nas Kołodziej – Ojca kolega z wojska. W dwuizbowym mieszkaniu było nas dziewięć osób i rosyjskie wojsko. Wszyscy spaliśmy na ziemi na słomie i słomą przykryci. Pod koniec września komendantura wojskowa ogłosiła nabór cywilów do zasypywania niemieckich okopów na wale wiślanym. Zgłosiłem się do pracy boso, w krótkich spodenkach i koszuli. Otrzymałem szpadel i przystąpiłem do pracy, drząc z zimna. Przyjrzał mi się żołnierz rosyjski, pokiwał głową i odszedł. Po pewnym czasie wrócił, ubrał mnie w wojskowe buty i ubranie, poklepał po ramieniu i powiedział po rosyjsku: „teraz jesteś wspaniałym żołnierzem”. Serdecznie podziękowałem mu za wszystko i wróciłem do rodziców.

Ojciec ze starszym bratem i Kołodziejem pędzili bimber, za który od żołnierzy otrzymywaliśmy koce i wojskowe ubrania. Żywność proszona była od miejscowej ludności. Za wykonaną pracę otrzymałem kartki żywnościowe, za które w Sandomierzu, w sklepie „Pomoc Bratnia” otrzymałem bochenek chleba, cukier, mąkę i kaszę. Była to istotna pomoc dla rodziny.

W czasie naszego pobytu na wysiedleniu zdarzył się gwałt na polskiej dziewczynie ze strony rosyjskiego żołnierza. Po wskazaniu przez matkę i córkę sprawcy dowódca osobiście zastrzelił winowajcę. Pamiętam też, że w zaroślach nad Wisłą znaleziono martwą kobietę i rosyjskiego żołnierza. Nie podano wyjaśnienia tego faktu.

W kwietniu 1945 r. wróciliśmy do Lisowa. Cała wieś była spalona; pola zaminiowane. Okopy poprzedzone kolczastym drutem. W groblach zostały schrony, a w ich wnętrzu pełno szczurów i myszy. W tych pomieszczeniach zamieszkaliśmy. Na polach stały zniszczone czołgi i resztki strąconych samolotów, dużo pozostawionej amunicji. W niesprzątniętych zbożach roiło się od szczurów i myszy. Zabici żołnierze czekali na pochówek. Były całe stada zajęcy i kuropatw. Mieszkańcy zbiorowo polowali na nie, ale z miernym skutkiem. Główną żywność stanowiły niewykopane jeszcze ziemniaki, z których robiono placki ziemniaczane. Z buraków cukrowych, też przynoszonych prosto z pola, pędzono bimber i sprzedawano go w Opatowie, Sandomierzu i Ostrowcu. Za otrzymaną gotówkę kupowano przede wszystkim żywność.

Do wsi trafiało trochę odzieży i żywności z USA (UNRA). Były to małe ilości. Pola pod zasiew przygotowywano szpadlami. Za kredyty bankowe kupowano konie, krowy i częściowo materiały budowlane. We wsi odbywały się zebrania, które zwoływał mój Ojciec – sołtys. Jego zastępcą był Jan Wesołowski. Namawiano rolników do wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Chętnych jednak nie było. Zaraz po wojnie chodziłem do szkoły podstawowej w Gierczycach. Na porannych apelach śpiewaliśmy „Rotę” lub hymn państwowy. Dyrektorem szkoły był p. Osuch. Jego

żona uczyła polskiego i francuskiego. Religii uczył Proboszcz z kościoła po sąsiedzku. Po drodze do szkoły zbieraliśmy karabiny, granaty, amunicję; słowem wszystko co było niezbędne do przeprowadzenia wybuchu w lasku lisowskim. Rozbrajane były także pociski artyleryjskie i układane w zagłębieniach po wybuchach bomb. Zasypywaliśmy to prochem i podpalali. Dziewczyny miały zakaz mówienia starszym o tych sprawach. Okazywały się solidarne i nie przekazywały tych informacji w domach. W szkole dyrektor często przeprowadzał rewizje i za znalezionej amunicję pozostawiał nas po lekcjach. O tym też dziewczyny miały zakaz mówienia.

Lucjan Grad, rocznik 1932, wspomnienia napisane.

W końcu lipca 1944 r., w związku z pogłóskami i faktami o przybliżającym się froncie i trudnościach zaopatrzeniowych, Ojciec nasz zabił świnie i po zakonserwowaniu mięso zakopał w stodole, w zapolu. Niestety front trwał zbyt długo i mięso się zepsuło. W pierwszych dniach walk, na początku sierpnia, nasza wioska Lisów „główny” (są jeszcze nieoficjalne nazwy: Lisów Kolonia, Lisów Zagórze, Lisów Łąki) przechodziła kilkakrotnie pod kontrolę rosyjską lub niemiecką. Któregoś dnia na niebie pojawiła się chmura niemieckich samolotów budząca grozę. Leciały w bojowym szyku. Jaki był skutek ich działań i co się z nimi stało, nie wiem, bo żaden samolot nie wracał tym samym korytarzem.

Zdarzyło się, że tego samego dnia Mama nakarmiła Niemca, a kilka godzin później Rosjanin dostał mleko i pajdę chleba. Po kilku dniach nieustannej strzelaniny, nieprzerwanego siedzenia w piwnicy – w mroku i w ścisku – po południu, przyszedł rosyjski żołnierz i rozkazał natychmiastową ewakuację w stronę Wisły, tj. terenów zajętych przez Rosjan. Większość podporządkowała się i natychmiast podjęła przygotowania do drogi. Powstał duży bałagan i harmider. Dokąd iść? którą? co zabrać ze sobą? na jak długo opuszczamy dom? jak zabezpieczyć obejścia, dobytek? – to były setki pytań, na które nie znano odpowiedzi.

Nasza rodzina: Ojciec Jan, Mama Regina, siostra Stanisława, brat Józef i ja – Lucjan po spakowaniu niezbędnych, jak się wydawało, przedmiotów i zabranii jednej krowy żywicielki, ruszyliśmy wówozem w kierunku Studzianek. Po dojściu do łąk skręciliśmy w lewo, w stronę wspomnianego Lisowa Zagórze. Nad nami świślały pociski z dział, widocznie ustawionych za wzgórzami. Słychać było serie i pojedyncze strzały. Początkowo byliśmy chronieni przez wówoz, a następnie przez głęboką dolinę, w której działań wojennych nie było. Pod wieczór dotarliśmy do Lisowa Zagórze, gdzie wydawało się spokojniej. Pokonaliśmy zapewne około 2 kilometrów. Na nocleg zatrzymaliśmy się u Chodurskich. Ponieważ dom opuszczaliśmy w wielkim pośpiechu, pod gradem kul, rodzice zdecydowali, że Tato wróci pod przykryciem nocy do domu pospuszczać bydło, pootwierać pomieszczenia gospodarskie, dać jeść pozostałym tam zwierzętom. Miał zabrać dodatkowe ciuchy, garnki, które natychmiast były potrzebne do przygotowania posiłku i wrócić. W naszej piwnicy Tato zastał kilkoro starszych ludzi, w tym sąsiada Stacherę. Z powodu znacznego nasilenia walk, niestety nie mógł wrócić w umówionym czasie. W nocy zmuszono nas do opuszczenia chwilowo przytulnego zacisza. Nie pomogły prośby, że czekamy na Tatę. Słychać było: „wojna”

i „uchodzicie”. Na nasze szczęście rodzice na wszelki wypadek umówili się, że w naszej wędrowce zmierzymy w kierunku Zakrzowa, gdzie mieszkali bracia Ojca – Wawrzyniec i Kuba. Nad ranem, oczywiście bez Taty, wyruszyliśmy przez drugie Studzianki w kierunku Pielaszowa.

Wojnę było widać i słycać na każdym kroku. Po przejściu doliny na jej prawą stronę na styku łąki i pól uprawnych stał rząd grubych wierzb. Na jednej z nich całym spodem siedział czołg rosyjski z gąsienicami w powietrzu. Dla mnie widok był tym groźniejszy, że czołg wyłonił się z porannej mgły. Po minięciu Studzianek i Pielaszowa wyszliśmy na drogę do Dobrocic. Na odcinku kilkuset metrów droga była wyłożona poprzecznie pozbijanymi sosnami. Dla mnie – dziecka, zarówno czołg, „sosnowa droga” i kikuty kominów były niesamowite i groźne. Tym bardziej, że po tej drodze poruszały się pojazdy kołowe i gąsienicowe. Nasza dalsza wędrowka prowadziła przez Słabuszewice i Kleczanów, w kierunku upragnionego Zakrzowa. Teraz było już spokojnie; ustał huk dział, świst pocisków, nie było wojska. W Obrazowie przy jakimś długim budynku zatrzymaliśmy się na „popas”. Z bratem donosiliśmy naręcza chwastu dla krowy, a Mama głowiła się czym nas nakarmić. Wkrótce radości nie było końca. Dotarł do nas Tato i choć było trudno i głodno, to jednak żwawo pomaszzerowaliśmy do celu. Rodzina Taty przyjęła nas bardzo życzliwie. Przez kilka dni dochodziliśmy do siebie. Wszędzie było bardzo dużo wojska, bardzo dużo sprzętu wojskowego. Wszędzie widać było ruch i podniecenie. Niestety, byliśmy w strefie przyfrontowej. Do Włostowa w linii prostej było zaledwie 5 kilometrów. Zarządzono ewakuację wszystkich przybyszów w głąb przyczółka, na bezpieczną odległość. Po kolejnym przemarszu dotarliśmy do Gorzyczan. Wszędzie było pełno wysiedleńców. Zwłaszcza rzucali się w oczy ludzie na wozach zaprzęgniętych w krowy. Choć oni byli w lepszej sytuacji od nas, to byli uważani za biedotę i mniej szanowani.

My trafiliśmy do gospodarza chyba małorolnego p. Wolskiego. Mieszkał z żoną i dorosłym synem Julianem. Jego obejście to: dom drewniany składający się z dwóch pokoi, kuchni i sieni, częściowo podpiwniczony, mała obora i mała stodoła. Dom stał w charakterystycznym miejscu przy drodze głównej Chobrzany – Samborzec od strony Chobrzany, po lewej stronie drogi głównej, przy skrzyżowaniu z drogą polną odchodzącą w lewo na Zarzeczce. Po przeciwnej stronie drogi polnej była kuźnia. Przed domem od strony szczytowej rósł piękny olbrzymi kasztan.

Po opuszczeniu Zakrzowa nasze życie opierało się wyłącznie na własnym zaopatrzeniu. Jeden pokój zajmowali gospodarze, drugi wojsko – NKWD. Nam przypadła w udziale mała kuchnia. Tato z siostrą sypiali w stodole. Z braku dostatecznego przykrycia siostra dostała zapalenia płuc. Przeniesiono ją do kuchni, były bańki, był jakiś wojskowy lekarz. Młoda i silna szybko doszła do siebie. Tato w porozumieniu z gospodarzem zbudował duże piętrowe łóżko. Wolnej powierzchni pozostało tyle, że mogliśmy koło siebie przechodzić. Odtąd spaliśmy wszyscy w ciepło. A ciepła było aż nadto. Mama gotowała na stacjonarnej kuchence opalanej drewnem, ale w naszej kuchence był jeszcze piec chlebowy, z którego codziennie dwukrotnie korzystali Rosjanie. W czasie palenia w piecu my siedzieliśmy na dolnym łóżku, przy oknie. Często pomagałem piekarzowi, podając

mu chleby przygotowane na górnym łożku. Któregoś dnia, zapewne z wycieńczenia i gorąca w pomieszczeniu, zemdlałem. Cieszyliśmy się jednak bardzo z tej współpracy z Rosjanami, bo z jednego wsadu dostawaliśmy dość spory bochenek (prostokąt) chleba.

Tato w porozumieniu z trunkowym gospodarzem dość szybko otworzył bimbrrownię. Produkcja była seryjna. Jeden zacier był w produkcji, a drugi dojrzewał. Wyrób tygodniowy to było kilka do kilkunastu litrów. Pamiętaliśmy oczywiście o piekarzu. Gospodarz użyczył Tacie konia i wozu, a Tato zmówił sobie kogoś i jeździli w pobliże frontu po zaopatrzenie. Przywozili buraki cukrowe, ziemniaki, zboże i słomę. Bimber szedł przeważnie na wymianę za bieliznę, ubranie i buty, watowane kurtki i portki, za żywność. Pomimo dziecięcego wieku (12 lat) brałem czynny udział zarówno w produkcji, jak i w dystrybucji. Pamiętam lejtnanta, który przyniósł dwie watowane kurtki i dałem mu dwa litry bimbru. Po pewnym czasie wrócił, oddał bimber, zabrał kurtki, bo dziewczyny nie chciały z nim pić. Zdarzało się i tak, że po wypiciu alkoholu kontrahent albo jego kolega odbierał przedmiot transakcji.

Szybko zaprzyjaźniłem się z lejtnantem Miszą, bardzo szlachetnym i bezinteresownym, mieszkającym w sąsiednim pokoju. Pomagał naszej rodzinie. Zabierał mnie ze sobą do połowej kuchni i dzień po dniu przynosiłem do „domu” kociołek zupy i menażkę kaszy. Nie chciał żadnej wódki. Zalecił mi jednak, żeby pamiętać o kucharzu. Siostra, po dojściu do zdrowia, jeździła za Wisłę po tytoń, który rozprowadzaliśmy przeważnie wśród Rosjan. Tato był zaopatrzeniowcem, baliśmy się, gdy jeździł w pobliże frontu, jak również wtedy, kiedy nocą chodził do Samborca na dworskie pola po siano i słomę.

Przypadło mi w udziale pasienie krowy na pobliskich ścierniskach. Każdorazowo miałem ze sobą i popijałem bimber. Rodzice o tym wiedzieli, było jednak powszechne przekonanie, że w tych trudnych warunkach jest to lekarstwo na wiele chorób. Dzisiaj mogę stwierdzić, że w moich genach nie było bakcyła alkoholowego, bo pozostałem abstynentem. Moja rodzina, od pierwszego do ostatniego zetknięcia z Rosjanami, nie miała żadnych scysji. Wręcz przeciwnie. Rosjanie pomagali nam przeżyć koszmary wysiedlenia. Dla nas ich pomoc była zbawieniem. Trudno wyobrazić sobie, jak byśmy sobie poradzili bez ich chleba, kasz, zup i handlu wymiennego. Część produktów pochodziła jednak z przyfrontowych pól i od gospodarzy, którzy bezinteresownie pomagali nam w miarę możliwości.

Niepozorna, drobna i widać zmęczona życiem gospodyni była osobą wyjątkową. Mądra, zrównoważona, życzliwa, schludna i dociekliwa dzieliła się z nami jedzeniem i odzieżą. Całymi dniami (bez przesady) w każdej wolnej chwili czytała i czytała książki, i to pulsowało od niej na cały dom. To był inteligentny rodzynek, mało w tym czasie spotykany, zwłaszcza na wsi. Muszę przyznać, że inteligencją i lisim sprytem wykazali się żołnierze, którzy w celu łatwego łupu wsadzili do piwnicy na jedną noc więźnia. Rano okazało się, że wojsko podzieliło się z gospodarzami nie tylko ziemniakami, ale i innymi produktami. Wyczyn był wyjątkowy. Piwnica była pod pokojem gospodarzy, a drzwi do niej prowadziły z sieni obok drzwi do pokoju.

W okresie zimowym było coraz trudniej. Ze strefy przyfrontowej Tato przywoził mniej buraków i snopków. Produkcja bimbrowa zmalała. Głodu jednak w tym okresie nie pamiętam. Pamiętam natomiast co rusz pojawiające się wszy i Mame z grzebieniem nachyloną nad naszymi głowami. Pod koniec grudnia i w styczniu coraz częściej w nocy słychać było jazgot i zgrzyty ciężkiego sprzętu kierowanego w stronę frontu. Coraz częściej i śmielej mówiono, że ino patrzeć jak ruszy ofensywa. Tak też się stało. Front ruszył, za nim wojsko i „nasze” NKWD również. Za wojskiem wysiedleńcy na rekonesans, na zwiad możliwości powrotu na rodzinne zgliszcza.

Do Lisowa wróciliśmy pod koniec stycznia do wcześniej upatrzonego bunkra, który znajdował się w ogrodzie Stanisława Gumuły w odległości 250 m od naszej „posesji”. Gumuła pozwolił nam zamieszkać „u siebie”, bo on z całą rodziną zamieszkał w tym czasie u swojego brata w Ostrowcu. Nastąpił najtrudniejszy okres. Od nowa należało organizować produkcję bimbrowa. Sprzedaż była jednak szczątkowa, ponieważ nie było zbytu. Pojawił się dopiero w maju, kiedy to Rosjanie przeganiali duże stada zarekwirowanego bydła.

W zimie buraki cukrowe trzeba było nadal kopać kilofem. Kopaliśmy na swoim polu. Tak samo było z żytem i pszenicą. Zbieraliśmy mniej przzerośnięte snopki. Zboże było mielone ręcznie w prowizorycznych żarnach. Wydajność snopków była dość duża, bo były one dość duże, wiązane w powrośła zakręcane dość ściśle specjalnym kołkiem. Snopki były układane w mendle (po 15 sztuk): 14 snopków kładziono w krzyżak, kłosami do środka, a piętnasty snopek rozczapierzony przykrywał cały środek mendla. W ten sposób środkowa część mendla była przeważnie sucha i ziarno nadawało się do spożycia. Przez kilka tygodni głównym pożywieniem były placki buraczane, często z zakalcem. Powstawały ze zmieszania mąki ze startymi burakami i upieczone na fajerkach kuchni.

Ukryte w zapolu mięso niestety było zepsute. Na nasze szczęście na polu Józefa Wieczorka w pobliżu „zabudowań” znaleźliśmy kłacz zamarznątą tak głęboko, że trudem dało się odrąbywać kawałki mięsa. Była to niewątpliwie młoda kłacz Józefa Stępnia, jedyna taka utuczona w całej wsi. Musiała zginąć w ostatnich dniach, a przynajmniej w okresie trwałych mrozów. Zapas mięsa był duży, bo mróz trzymał nadal, a ponadto Tato przysypał go lodem i śniegiem. Zabity jadalny koń był jedynym zwierzęciem domowym w zasięgu naszego wzroku, poza oczywiście naszą krasulą.

Ludzie nie spieszyli się do powrotu, ponieważ nie było gdzie zamieszkać. Trzeba było cierpliwie czekać na wiosnę i lato. Licząc się jednak ze zbliżającym się powrotem Gumułów, należało przyspieszyć powrót na „własne śmieci”. W tym celu Tato skonstruował lekki „wóz” z dyszlem i rozwarą, skracaną lub wydłużaną w zależności od potrzeb. Podstawą wozu były dwie pary kółek od pługa jednoski-bowego. Zaopatrzył go w szelki, w które zaprzęgał mnie i brata Józka. Byliśmy w o tyle dobrej sytuacji, że nasz dom mieszkalny jako jeden z trzech budynków we wsi nie był spalony. W dużej mierze był rozebrany, a bale i grube elementy były wykorzystane do budowy bunkrów. Penetrowaliśmy bunkry i umocnienia okopów. Odzyskane swoje elementy zwoziliśmy na podwórze. Odzysk materiałów był duży. Brakujący budulec w trójkę pozyskiwaliśmy w lesie. Na „wóz” ładowaliśmy,

w zależności od długości i grubości, jedną lub dwie sosny. Późną wiosną 1945 r. na podwórzu mieliśmy materiał nie tylko na uzupełnienie domu, ale i znaczną część budulca na stodołę. Praca w lesie i przy transporcie była bardzo ciężka. Najtrudniejsze było pokonywanie góry między Rumińskimi a Sojami. Zdarzało się, że „wóz” ściągał nas o kilkanaście kroków. Czasami ktoś nam pomagał.

Pierwszą budowlą była jednak letnia kuchnia spełniająca jednocześnie rolę sypialni. Przeprowadziliśmy się do niej w kwietniu. Belka po belce łataliśmy szkielec domu. Pracowałem na równi z Tatą od rana do zmroku. Byłem dzieckiem spokojnym i ostrożnym, za to brat Józek był bardzo ciekawski; nie przepuścił żadnej kulce, łusce, pociskowi, granatowi czy minie. Zapobiegając wypadkom został odesłany do rodziny w Bodzechowie – daleko poza linię frontu. „Na służbie” był ponad rok. Praca „w zaprzęgu”, ponad siłę, oraz dzwiganie klocków i bali spowodowały u mnie przepuklinę. W wieku 15 lat byłem operowany w Sandomierzu, w szpitalu przy ul. Opatowskiej. Wspomnę przy tym, że „leżakując” na słomianym materacu po operacji połknąłem bakcyła do czytania książek. Przepuklinę miała również moja Mama, ale ona nosiła pas wojskowy; bała się operacji.

Pierwsze tygodnie po powrocie do Lisowa żyliśmy wśród zamrożonych ciał żołnierzy rosyjskich. Musieli zginąć w ostatnich dniach, bo ich twarze były jak żywe. Pamiętam dokładnie gdzie leżeli. Nie mieli już broni; jeden z nich był w samych onucach. Na naszym i sąsiednim polu było dziewięciu zabitych. Zabrano ich, ale nie wiem gdzie pochowano.

Na tych samych polach stały czołgi: rosyjski T-32 i niemiecki tygrys w odległości od siebie 100-120 metrów. Skierowanie luf i ślady na czołgach sugerowały, że stoczyły pojedynek. T-32 na naszym polu „rozebraliśmy do naga”. Znalezione w nim konserwy rybne były rarytasem, a smak ich pamiętam do dzisiaj.

Przyszła wiosna. Trzeba było zająć się obróbką ziemi, sianiem, sadzeniem. Nie pamiętam skąd mieliśmy siewne zboże i sadzeniaki. Pamiętam natomiast, że pożyczonym koniem orałem i uprawiałem rolę, bo Ojciec wciąż zajmował się budową, a brat (banita) był poza zasięgiem materiałów wybuchowych. W czasie orki wyorałem trzy bomby rosyjskie przeciwpiechotne. Bomby urywały się w połowie na łączeniu ze skrzydełkami, co odpowiadało głębokości lemieszka. Odnosiłem je na miedzę i orałem dalej. Pisząc to skóra mi cierpnie; to chyba cud, że żadna nie wybuchła.

Prawdopodobnie lato 1946 rok. Piękna, słoneczna pogoda, bardzo ciepło. Czterech podrostków szukając ochłody, weszło do stawu dworskiego. Powyżej pasa. Jeden z nich wyciąga z mułu granat przeciwczołgowy (beczulkę); dostawia do brzucha (chyba) żeby łatwiej odkręcić rączkę. Krzyknąłem: „nie ruszaj!”. Byłem od niego około 10 metrów. Odwróciłem się i zanurkowałem. Po pewnym czasie zatrzęsło wodą. Po wynurzeniu się w miejscu operatora była duża plama i coś pływało. Tadek Barbach miał rozpruty brzuch i widać było wnętrze, Wiesiek Wołek miał zranione udo. Granat rozkręcał Stefek Miśkiewicz i zginął na miejscu.

Opisałem kilka sytuacji zgodnie z tym co pamiętam. Jednak pamięć jest ulotna; mogłem coś przestawić, pomylić.

Józef Grad, rocznik 1930, wspomnienia wysłuchane.

Jak zbliżał się front, to szczególnie wczesnymi rankami słyhać było odgłosy odległej kanonady. Trwały żniwa, ale ludzie nie zwozili zboża do stodół. Skoszone i wysuszone zboża ustawiali na polu w mendle. Rozumowali, że jak przyjdzie front i spali się stodoła, to spali się wszystko, a tak to zostanie na polu. Oznaką zbliżającego się frontu były ruchy wojsk. Ciągnęły kolumny taborów ukraińskich. Nie zdawaliśmy sobie sprawy co to znaczy – niby Niemcy, a gadają po rusku czy ukraińsku.

Ludzie nadal pracowali przy żniwach, ale jednocześnie trochę chowali cennych rzeczy (zakopywali). U nas konkretnie: odzież, obuwie, nakrycia, kapy, inne wyszywane rzeczy były schowane do kufra i zakopane w stodole. Tuż przed walkami w Lisowie Ojciec zabił świnię i mięso załadował do beczki dębowej po piwie, zalał solanką i też zakopał w stodole. Szczególnych schronów nie przygotowywano; stały się nimi betonowe piwnice, w których przechowywano zimą ziemniaki. Porządnie zagłębione w ziemi i na wierzchu przykryte też grubą warstwą ziemi, aby zabezpieczyć przed mrozem. Takie piwnice, jak pamiętam, były dwie: solidne, obszerne (około 30 m²), z wejściem po betonowych schodkach, zamykane drzwiczkami, zabezpieczane kłódką – u nas i u Rzetelnych. Poza tym niemal w każdym domu były doły na ziemniaki i też służyły za schronienie. W piwnicy przebywały trzy, cztery rodziny. W tych warunkach przebywaliśmy około tygodnia.

Pamiętam, że w pewnym momencie przyszedł rosyjski żołnierz i powiedział: „uchodzi, bo tu budiet bolszjy boj”. Uciekliśmy z Mamą, siostrą i bratem, bo Ojciec jeszcze pozostał. W piwnicy pozostało część ludzi; uderzyły w nią dwa pociski. Jeden z nich przebił się z boku przez beton i uczynił w piwnicy piekło. Ranni zostali Stacherowie. Matula zdecydowała, że uciekamy. Powiązała pierzyny w toboły i zadała je nam na plecy. Krowy chodziły luzem, żeby się nie spaliły w oborze; Matula złapała dwie na jakieś powrozy (jedna nazywała się Płowa, a druga Krasula). Z tymi tobołami i dwoma krowami uciekliśmy w kierunku wqwozu za Janikiem i tym wqwozem doszliśmy do Chodurskiego. Zanołowaliśmy w dużej piwnicy; było tam dużo ludzi, wydawało się bezpiecznie. Po raz pierwszy przydały się zabrane pierzyny. Wieś była jeszcze nienaruszona. Na drugi dzień uciekaliśmy do Zakrzowa, bo mówiono, że tam już wojny nie ma. Tam było dwóch Gradów, prawdopodobnie po bracie dziadka mojego; bywali u nas na odpuszcie malickim, a my u nich w gościnie. Jakieś trzecie pokolenie pokrewieństwa. Nasza ucieczka prowadziła przez pierwsze Studzianki, te bliżej Męczenic w kierunku na Słabuszowice. Na Studziankach spotkaliśmy ruskie czołgi, może z pięć sztuk. Matula powtarzała, że „czołg siedział na wierzbie”. Czołg najechał na grubą wierzbę, przewrócił ją, gąsienice poszły do góry i nie mógł zjechać. Potem ściągnął go drugi czołg.

Ze Słabuszowic dotarliśmy do Gołębiowa. W Gołębiowie Matula puściła krowy w buraki, a przecież tego się zabraniało. Przyniosła od gospodarza wiaderko, wydoiła krowy i napiliśmy się mleka do syta. Przeszliśmy szosę i we wsi Usarzów zapamiętałem rosyjskiego żołnierza, który na uboczu naprawiał czołg. Miał do dyspozycji dwa młotki i tymi młotkami odkręcał śruby. Widzieliśmy też

jak chowali rosyjskiego żołnierza. Trumna była przykryta czymś czerwonym; pochowali go pod grąbką.

Do Zakrzowa przybyliśmy pierwsi. Następnego dnia przyszedli Grady z Sadłowic. Tuż po przejściu zimowej ofensywy wyruszyliśmy z Ojcem do Lisowa. Do Pielaszowa tą samą drogą przez Kleczanów i Międzygórz. Na wysokości łąki Kazika Stępnia weszliśmy na pola, które były zaminowane. Cztery rzędy min umocowanych na palikach połączone były bardzo cienkim drutem. Przed polem minowym na łące leżał żołnierz rosyjski. Zginął prawdopodobnie podczas walk zimowych, bo był grubo ubrany w kufajce, walonkach i zimowej czapce. Na pewnej szerokości druty minowe były już poprzecinane co oznaczało, że ktoś tędy już przechodził. Szliśmy obaj z Ojcem, który ostrzegał mnie i pokazywał jak iść. Ostrożnie i powoli wyszliśmy „na Janika”. Ojciec ponownie wrócił do Gorzyczan, a ja zostałem w Lisowie z Gienkiem Wieczorkiem, który był starszy ode mnie o dwa lata.

W Lisowie nie było w ogóle ludzi. Zamieszkaliśmy w bunkrze ponemieckim w ogrodzie Gumuły. To był obszerny, ładny i solidnie zrobiony bunkier z desek i bali. Od niego w prawo prowadził okop aż do naszego pola i tam był drugi mniejszy bunkier. Miał on okienko, z którego możliwa była obserwacja obszernego przedpola od Chodurskiego na wschodzie, aż po Zapałów i do Adamowa na zachodzie. W zagłębieniu na kierunku Barbachów i Orłowskich też było pole minowe. To na tym polu minowym Józef Barbach stracił nogę i zmarł w wyniku zakazenia. Pole minowe było też na polu Flisków, na wprost bunkra u Gumuły. Miny przeciwczołgowe ustawione były wzdłuż drogi prowadzącej od Sadłowic do Janika. Były w oprawach drewnianych, wielkością i kształtem przypominających skrzynki na gwoździe, jakie kupowało się później w naszych sklepach. Na cienkim drucie widniał napis w języku niemieckim. Niewielkie pole minowe było też w okolicach gospodarstwa mojego stryja Grada, przy ostrym zakręcie drogi do Sadłowic. Wiosną obszedłem wszystkie te pola.

Tymczasem byliśmy z Gienkiem w Lisowie i całe zainteresowanie skierowaliśmy na militaria: karabiny, amunicję, granaty. Wszystko to zbieraliśmy i oczywiście strzelaliśmy. Ja z uciechą na wiwat do góry, Gienek natomiast strzelał do celu. I dobrze strzelał; z trzydziestu-czterdziestu metrów trafiał w granat lub minę już za pierwszym razem. I był wybuch. W ogrodzie Gumuły leżał niewybuch granatu F-1 ze zwolnionym zapalnikiem. Proponowałem, aby w pobliżu granatu wykopać dół i pętlą zrobioną z drutu ściągnąć granat do tego dołu. Gienek jednak postanowił strzelić do tego granatu. I trafił. Nie zdążyłem się schować i miałem w spodniach pompkach trzy dziury wielkości palca zrobione przez odłamki. Miałem szczęście, że żaden nie trafił w nogę.

Duży bunkier, może sześćosobowy, był na Szemrajowym polu, a w sąsiedztwie stanowiska dla moździerzy. Tam znajdowaliśmy nieużyte pociski moździerzowe. Układało się dwa-trzy pociski w formie gwiazdki, w środek mydełko miny przeciwpiechotnej. Z braku lontu usypywaliśmy ścieżkę prochową, podpalali i chowaliśmy się za grombę. Był wybuch.

Okopy były między wsią a drogą prowadzącą przez pola od Szemraja do Sadłowic. Przed okopami jakieś dwadzieścia-trzydzieści metrów były zasieki

z drutu kolczastego. To były okrągłe bele drutu w pewnych odległościach przytwierdzone do ziemi. Baliśmy się tych zasieków; słyszałem bowiem, że w niektórych miejscach były do nich przymocowane miny, które wybuchały przy odciąganiu drutu. Ja takiego zdarzenia nie widziałem.

Bunkry pod Kiljańskimi i Szemrajem były zbudowane między innymi z bali powyjmowanych z lisowskich budynków. Mój Ojciec z Rzetelnym przeszukiwali bunkry i zabierali bale rozpoznane jako swoje. Nie było to trudne, bo jak dobrze pamiętam nasze bale były czterocalowe, a bale Rzetelnego trzycalowe. Dużo drewna odzyskaliśmy w ten sposób, a że dachy na zniszczonych domach nadawały się do poprawy, Ojciec dość szybko odbudował dwuizbową chatkę z komórką. Był to bodaj jeden z pierwszych domów po froncie w Lisowie. Czołgami interesowałem się już na wysiedleniu i zaglądałem do nich, gdzie tylko się dało. W Lisowie po froncie widziałem czołg, który utknął w poprzek drogi prowadzącej od Lisowa do Stodół, mniej więcej na wysokości zabudowań Wieczorków z jednej strony i Sroków z drugiej. Lufa była wbita w grombę, a czołg zrównał się z wąwozem i łatwo się na niego wchodziło. Drugi był na naszym polu. Ten czołg dostał w wieżę obrotową. Otwór był niewielki, tak na grubość ręki. Reszta była cała. Cała załoga zginęła. W środku były tylko guziki, parę kości i ciągle nieprzyjemny zapach. Od strony silnika wisiały sople. To prawdopodobnie spływały, paląc się, aluminiowe elementy. Na Wieczorka polu stał następny czołg. Opadająca kopuła tego czołgu przecięła żołnierza na pół. To były rosyjskie nowoczesne czołgi T-34.

Przy drodze z Sadłowic na Hultajkę, mniej więcej tam, gdzie dziś mieszkają Gierczakowie, było puste już stanowisko czołgowe, na tyle głębokie, że nad powierzchnię mogła wystawać tylko lufa. Były tam wyraźne ślady gąsienic czołgowych, pozostała też stalowa płyta o powierzchni mniej więcej dwóch stołów i grubości około 10 mm. Prawdopodobnie skutecznie broniła przed ogniem broni maszynowej. W niedalekiej odległości na polu Romka Kmicickiego stał czołg niemiecki znacznie uszkodzony. Na polu Barbacha też stał czołg niemiecki, duży, myślę, że około 30 ton – bez śladów zniszczenia; robił wrażenie jakby mu tylko silnik zgasał. Na stodolskich polach na wysokości pola Gienka Pałachy, ale w lewo w stronę Gierczyc, stał wrak niemieckiego czołgu „Tygrysa”. Był olbrzymi, a w jego lufę można by było włożyć głowę. Prawdopodobnie to kaliber 150 milimetrów. Gąsienice były szerokie jak blat od stołu. Przy tym „Tygrysie” rosyjski T-34 wydawał się o połowę mniejszy. Po drugiej stronie zabudowań Pałachy stał mały czołg niemiecki z przestrzeloną lufą. Prawdopodobnie dostał z rusznicy. Był spalony. Wrak czołgu stał też w pobliżu skrzyżowania drogi z Pielaszowa na Łopatę z drogą do Sandomierza.

W sierpniu 1944 r. widziałem atak samolotów niemieckich na rosyjskie czołgi. Atak był ponawiany kilkakrotnie; samoloty nurkowały i oddalały się nad lisowski las. Tam były trafione chyba trzy czołgi. Jeden w pobliżu ścieżki koło Wołka, którą chodziliśmy do szkoły, drugi koło Dudka, a trzeci pod kuźnię w Gierczycach.

Z 99% pewnością ustaliłem jak zniszczony został czołg na naszym polu. W mendlach, może 25 metrów od wraku czołgu, był okop do pozycji stojącej,

dobrze zamaskowany. Z tego okopu żołnierz strzelił z granatnika przeciwczołgowego; w słomie znalazłem rurę, w której umieszczano granatnik. W ścianie okopu była półka, na której znalazłem połówkę spleśniałego niemieckiego chleba i niemiecką konserwę rybną. Ja tę konserwę zjadłem. Była teoria, że jak konserwa nie puchła, to dobra. Nie pamiętam, czy to były szproty, czy śledzie. Zaraz po froncie byłem w Bodzechowie przez rok. Miałem 15 lat i byłem tam w szóstej klasie. Dobrze mi szło, bo już poważnie patrzyłem na naukę. Do Bodzechowa potrzebowałem dwie godziny; latałem po ścieżkach, bo zawsze skracałem sobie drogę. Szedłem na dół koło Kubika, potem granicą koło Wołka do Gierczyc, w Gierczycach w lewo między kościołem a cmentarzem połą droga do Przeuszyna. Z Przeuszyna do Krzczonowic, potem połą drogą przez Wszehświęte, Grocholice i do Bodzechowa. Nie miałem nic przy sobie, więc podbiegałem; truchtem czy jakoś tak. Za cały bagaż to miałem w kieszeni mydło czyli kostkę trotylu z otworem, do tego splotka, i jak pasłem krowę u kuzynów w Bodzechowie to robiłem huk.

Mieczysław Kasiński, rocznik 1921, wspomnienia napisane.

Gdy słyhać było odgłosy artylerii od strony Sandomierza, Ojciec powiedział, że należy zrobić bunkier. Wspólnie wykopaliśmy głęboki dół, ułożyliśmy grube drewno na wierchu, darń z krzewami. Powiedział, że doły po ziemniakach czy piwnice nie wytrzymają eksplodujących pocisków.

Pierwszy potężny pocisk spadł na łąkę sąsiada Kilijańskiego. Pocisk nie eksplodował. Dużo ludzi od strony Opatowa uciekało w stronę Sandomierza z myślą o przedostaniu się za Wisłę. Pierwszy raz zobaczyłem zwiad żołnierzy rosyjskich, którzy przeszli przez Zagórze w stronę Chodurskiego Stanisława. Wybrałem się do Tadeusza Chodurskiego i zauważyłem, że w niewielkim okopie jest żołnierz. Rosyjski żołnierz prawdopodobnie pełnił funkcję zwiadu. Postanowiliśmy z Tadekiem Chodurskim spotkać się z kolegami z organizacji BCh, ze: Stanisławem Kmiecickim, Stanisławem Szemrajem, Tadekiem Szwagierczakiem i innymi. Uzgodniliśmy co należy zrobić z bronią należącą do miejscowej BCh.

Miejscowa ludność w obawie przed nadejściem niebezpiecznych walk frontowych gromadziła się w piwnicach i w dołach po ziemniakach. Wyprowadzano z obór krowy, konie, świnie w obawie przed nadejściem walk frontowych. Zabudowania nie były jeszcze popalone. W piwnicy Kasińskiego Franciszka zatrzymaliśmy się przez dwa dni. Rozpoczęły się walki frontowe w Lisowie Górnym. Początkowo były to oddziały niemieckie, a później w czasie dnia wojska rosyjskie. Nie było możliwości wyjścia z piwnicy, by zobaczyć czyje zabudowania się palą. W trzecim dniu nieustannych walk zdecydowaliśmy z Tadeuszem Chodurskim wrócić do swoich rodzin. W drodze z piwnicy Kasińskiego Franciszka do pomieszczeń Chodurskich byliśmy pod ogniem pocisków wystrzeliwanych przez katusze, które zlokalizowane były za cmentarzem w Malicach Kościelnych. Doznaliśmy lekkich oparzeń twarzy spowodowanych przez eksplodujące pociski. Dzięki głębokim koleinom w drodze oraz wysokiej granicy, na której leżeliśmy, zobaczyliśmy, że pali się wiatrak Leśniaka w Sadłowicach i wiatrak Chodurskich. Ponieważ odcinek tej drogi znajdował się w terenie górzystym, nie miałem możliwości utrzymania kontaktu z kolegami.

Z wielkim trudem dostałem się przez teren Zagóry, gdzie w dużym zalesieniu znajdowały się zabite przez pociski krowy, konie, świnie i inne zwierzęta gospodarskie. Powodowało to niesamowity smród.

Podczas walk do naszego bunkra przedostawały się kobiety z dziećmi. Jednego dnia w obejściach domowych byli Rosjanie, a drugiego Niemcy. I tak przez dwa tygodnie. W dołach po ziemniakach i tymczasowych bunkrach okresowo byli ciężko ranni żołnierze rosyjscy i niemieccy, których w godzinach nocnych zabierano na zaplecze walk. Niesamowity jęk rannych żołnierzy pozostał mi w pamięci do dnia dzisiejszego.

W bunkrze brakowało miejsca dla tych, którzy chcieli schronić się przed kulami. Wspólnie z bratem Stachem wykopaliśmy wąski dół i włożyli tam metalową beczkę, w której w nocy spałem z powodu braku miejsca w bunkrze. Rosyjscy żołnierze namawiali nas na opuszczenie bunkra, ponieważ będzie natarcie. Dostałem się z trudem do mieszkania dziadka Kasińskiego, żeby zobaczyć czy żyje. W domu był jeszcze z babcią. Stryj Wicek z żoną już uciekli. Siedzieliśmy z dziadkiem na łóżku, pościel została wyniesiona do piwnicy. Nastąpiły silne bombardowania. Upadły bomby w pobliżu. Gorący odłamek przez okno upadł na moje nogi. Odrzuciłem go na bok.

Ponieważ stale padały pociski, nie było możliwe przedostanie się za pierwszą linię frontową. Z każdym dniem warunki wyżywienia pogarszały się. Brakowało jedzenia nawet dla dzieci. Wykopaliliśmy głęboki obszerny rów dla krowy, którą sprowadziliśmy z ogrodu. W miarę możliwości dostarczaliśmy karmę dla krowy. Moja mama w godzinach rannych doiła tę krowę. Mleko było przede wszystkim dla dzieci znajdujących się w bunkrze.

Po sąsiedzku dziadek Kasiński Paweł miał dwa sady; jeden młody – jak to nazywał, drugi – stary. Rosjanie, gdy chcieli się przedostać pod ostrzałem, to kopali doły i przeskakiwali z dołu do dołu. Przejście było bardzo niebezpieczne. My też, gdy chcieliśmy dojść do tego sadu dziadkowego i owoców urwać, skakaliśmy z jednego dołka do drugiego, a cały czas był ostrzał. Dziadek raz tam poszedł, chciał urwać owoców dla dzieci, i w tym czasie Niemcy zastrzelili Go w jego sadzie. Nie wiedziałem, że dziadka zastrzelono. Wiedziałem natomiast, że w sadzie są dobre śliwki. Wziąłem wiadereczko i przez te dołki dostałem się do nowego sadku. Drzewa nie były duże, wyszedłem i zacząłem zrywać. Gdy strzelano, to najpierw słyszało się szelest, a później dopiero huk. Gdy słyszałem po liściach ten szum, zeskoczyłem ze śliwki i więcej tam nie poszedłem. Ale śliwek wtedy przyniosłem.

Później skończył się chleb w bunkrze, więc Mama zaproponowała, żebyśmy napalili w piecu i upiekli chleb, bo przecież nie ma co jeść. Zaczyniła chleb, bo mąka jeszcze była. Z bratem Stanisławem paliliśmy w piecu i grali w szachy. Nagle bomba w pobliżu upadła (wtedy pierwszy raz naprawdę się wystraszyłem), ale później Mama przysłała i ten chleb upiekła. Strachu było bardzo dużo, wiele było podobnych wypadków.

Bardzo przeżywam to wszystko do dziś. I to, że człowiek przeżył, to wielkie szczęście. Kiedy już nie można było przejść w pasie neutralnym, bo z jednej strony była linia frontu i z drugiej też, Rosjanie mówili, żeby uciekać, bo tu będzie

walka. Powiedziałem, że nie możemy przejść i żołnierze rosyjscy pomogli nam się przeprowadzić.

Doszlśmy do Wisły w miejscowości Ostrołęka. W spodenkach, w trepach, bez jedzenia. Zabraliśmy jednak ze sobą krowę, która była ranna. W Ostrołęce zastaliśmy dużo wojska rosyjskiego i dużo uciekinierów (tak nas nazywano), którzy uciekli z miejscowości przyfrontowych. Zostaliśmy przyjęci przez gospodarza, który nazywał się Stanisław Głuch. Niespodziewanie spotkaliśmy po sąsiedzku Mikołaja Kasińskiego z rodziną. Krowę ulokowaliśmy w obejściach gospodarczych. Brakowało miejsc noclegowych nawet w stodołach, bo te były zajmowane przez wojsko rosyjskie. Trzeba było zdobyć jakieś spodnie, buty. Był majątek w Ostrołęce. Dziedzic wyjechał, bo widział co się dzieje. Na polach tego majątku były buraki cukrowe. Zbieraliśmy je i robiliśmy z nich bimber. Był niedobry, mętny, ale Rosjanie brali wszystko, a w zamian dostawaliśmy buty, koszule wojskowe, a nawet konserwy.

Pragnę wspomnieć spotkanie na przyczółku sandomierskim z płk Franciszkiem Kamińskim – komendantem głównym BCh, podczas którego rozkazem ustnym zobowiązał członków BCh do „brania władzy w swoje ręce”. Dlatego też duża ilość BCh-owców obejmowała stanowiska komendantów milicji obywatelskiej. Byli to przeważnie komendanci gminni BCh z czasów okupacji. Tadek Szwagierczak był komendantem w Wojciechowicach. Cenek Bakalarski był milicjantem w Zawichoście, do milicji poszedł też Broniek Kmiecicki i Tadek Orłowski. Zachęta komendanta Kamińskiego, aby BCh-owcy szli do milicji, a nawet zajmowali stanowiska kierownicze, była realizowana z tego też powodu, że po przejściu ofensywy zimowej ludzie nie mieli gdzie mieszkać i nie mieli co jeść.

Po wyzwoleniu Lisowa w 1945 r. przez wojska rosyjskie ludność zaczęła wracać na miejsca spalonych gospodarstw. Jak zaznaczyłem moja rodzina znajdowała się w pasie neutralnym. Doszczętnie spalone zabudowania, a pola zaminowane. Chcąc się dostać na miejsce spalonych budynków, ludzie własnymi sposobami zaczęli znajdować miny. Ojciec wypożyczył konia od sąsiada, chcąc zaorać kawałek ziemi. Wybuchła mina. Z pługą zostały strzępy. Ojciec został ranny. Sąsiad Michał Stępień wszedł na teren zagrożony i przy pomocy brata i rozłożonej drabiny wynieśli go z terenu zaminowanego.

W okresie późniejszym pozostałe miny zbierali saperzy. Przy zdejmowaniu min pytali rodziców, kto przechodził przez teren. Okazało się, że były to ślady moich butów (w odległości 5 cm od dużej miny). Po przyjeździe z Sandomierza nie wiedziałem, który teren nie został jeszcze rozminowany. Miałem szczęście, że udało mi się ominąć minę.

Stanisław Barbach, rocznik 1933, wspomnienia wysłuchane.

Jak było pewne, że front się zbliża, to Ojciec z sąsiadem Barbachem za ogrodem na naszym polu przy granicy Barbachów wykopali bunkier. U nas i u nich było złożone drewno na budowę, to poukładali to drewno w krzyżówkę, nakładli słomy i nasypali ziemi. Jak była bardzo strzelanina, to Barbachowa zatkała wejście pierzyną; gdy trafiały tam kule, to pióra się sypały. Schodziliśmy głębiej w tym bunkrze i dlatego nas nie trafiło. Pamiętam taki moment, że samolot zrzucił

niedaleko nas dwie bomby. Naruszyły drzewo i zaczęło sypać się na nas. Ze strachu, że nas zasypie wybiegliśmy z bunkra, a ojciec zaczął krzyczeć, żeby wracać. Zdążyłem zauważyć Niemca, który leżał na ziemi i próbował się okopać; był w hełmie i miał okulary. Jak się trochę uspokoiło i znowu wyszliśmy z bunkra, to tam gdzie próbował okopać się niemiecki żołnierz leżały okulary i hełm. Pewnie zginął, a Niemcy sprząтали swoich poległych żołnierzy. Ruscy pozostawiali swoich na polu, niektórzy leżeli tam do wiosny. Pamiętam, że mówiący po rosyjsku żołnierze chcieli zabrać kobyłę od źrebięcia. Ojciec, ponieważ skończył rosyjską szkołę, dał radę wytłumaczyć im, że zaraz wrócą z pola 2 konie, to wezmą jednego, a kobyłę niech zostawią przy źrebięciu. Posłuchali i wzięli konia, ale potem wzięli też kobyłę. Za jakiś czas kobyła wróciła w siodło.

Gdy walki nasiliły się, nakazali nam uciekać. Uciekaliśmy z myślą o Kleczanowie, gdzie mieszkała siostra Matki. Doszliśmy do Męczennic. Stamtąd drogą nie chcieli nas puścić na Kleczanów. O świcie wróciliśmy z powrotem. Zatrzymaliśmy się u Bakalarskiego. Tam z padniętego bydła i ziemniaków Mama z Barbachową ugotowały jakieś jedzenie. Był tam straszliwy bój. Ze Studzianek uciekliśmy w doły Kapturowe. Bakalarscy nieśli na drabince rannego chłopca. Chcieli zatrzymać się u Lisiców, ale nie pozwolili im wejść nawet do ogródka. Mówiono, że oni przechowywali tam Żydów i bali się nas wpuścić. Poszliśmy w doły Kapturowe, a stamtąd koło Wikiery i znaleźliśmy się w Łukawce. Kazano nam iść w stronę Kaliszan. Tamtędy dotarliśmy do Mierzanowic do ciotki.

Zastaliśmy spalone obory, spalony dach na mieszkaniu, spalone też były zbiory na polach. Starsi poprawili ramy w oknach, położyli pałatki na dachu, słomę na posłanie i jak była pogoda, to było nieźle, ale jak padało, to dach przeciekał. Chodziliśmy z bratem do niemieckiej kuchni polowej. Nie wolno było podchodzić, dopóki nie rozdali jedzenia żołnierzom. Jak zostało, to dawali nam, najpierw dzieciom. Na palcach pokazywało się ile nas jest. Nalewał chochlą na długim kiju i dodawał do tego chleba. W Mierzanowicach, w tym częściowo rozwalonym domu, mieszkało nas około jedenaście osób.

Jeszcze trwały żniwa. Mama chodziła na pole dworskie, chyba za Jej pracę dostaliśmy dwa worki żyta. Potem kopała motyką ziemniaki i zносиła je do piwnicy. Właściciele majątku już nie było. Jak zaczęło przymarzać Niemcy kazali nam kopać marchew. Ukopaliśmy furę marchwi i ziemniaków i schowali do piwnicy. Ciotka podpowiadała Mamie, żeby oszczędzała te ziemniaki z piwnicy na potem. Po odejściu frontu jakaś komisja gminna chciała nam zabrać te ziemniaki, ale Matka nie pozwoliła; powiedziała im, że trzeba było sobie ukopać, a nie parzyć jak myśmy kopali. Zrezygnowali z zabrania nam ziemniaków.

Po froncie zostałem w Mierzanowicach i przez rok chodziłem do szkoły w Wojciechowicach. Miałem takie buty, z których jeden był przepalony i jak padał deszcz, to było w nim mokro. Koło buta też było mokro. Zauważył to kierownik szkoły i powiedział: „Barbach, ty zostajesz”. Obok mnie siedział Ozdoba i Duda i śmiali się, że zostaję w kozie. Ja tak nie myślałem. Lekcje szły mi dobrze, bo pomagała mi Przysuszanka – bardzo zdolna, o 5 lat starsza i skończyła już jakąś szkołę. Zostałem po lekcjach; przyszedł kierownik i zaprowadził mnie

do gminy. Tam rozwiązał jakiś worek i wyszukał pasujące na mnie buty, a dodatkowo znalazł też kurtkę. Na protesty urzędnika odpowiedział, że to jest chłopak z frontu i co trzeba, to on jutro podpisze. Kurtka była na mnie sporo za duża, ale jak się przycięło rękawy, to się chodziło.

Ta szkoła wcześniej nie była czynna, bo w Wojciechowicach i w sąsiedztwie było bardzo dużo wojska niemieckiego i szkoła oraz wszystkie większe domy były przez nich zajęte. W Wojciechowicach na równinie Niemcy mieli też lotnisko. To stąd startowały samoloty, które bombardowały Lisów.

Po powrocie do Lisowa mieszkaliśmy przez rok w bunkrze przy wąwozie Szemrajowym. W naszym bunkrze dwa lata mieszkał Józek Stępień. Bunkry przydzielała gmina.

Ojciec zginął od miny przeciwpiechotnej na naszym polu. Szedł po mąkę, która była ukryta w stardze. Mina urwała mu nogę. Leżał w szpitalu w Ostrowcu Świętokrzyskim. W strasznych warunkach, przy schodach. Musiała i tam być wielka bieda, bo lekarz prosił Mamę, żeby przynieść Ojcu coś do jedzenia, trochę masła i chleba.

Trochę podobna sytuacja spotkała nas może rok przed frontem. Wbiła mi się kolka w nogę, na drzewie w ogrodzie. Zaczęło obierać. Ojciec zawiózł mnie do doktora Krauz w Opatowie. Od razu zoperował nogę i powiedział, że trzeba przyjeżdżać na opatrunki. Ojciec chciał płacić, ale doktor nie chciał pieniędzy, tylko prosił o przywiezienie czegoś do jedzenia. Mama upiekła chleba, zrobiła masła i sera i zawieźli doktorowi. Gdy Doktor zobaczył chleb, pocałował go i powiedział: „no, teraz nie będziemy głodni”. Za następnym opatrunkiem zawieźli koguta. Teraz Doktor chciał płacić. Krauz był wcześniej w Lisowie. Przywiózł go Jaś Kasiński głodnego, brudnego i zawszonego, wracając z podwoły z okolic Rozwadowa. Chyba w 1946 r. Krauz operował chłopaków lisowskich poranionych granatem podczas kąpania w stawie. Najbardziej poraniony był mój brat Tadek – miał odkryte wnętrzości. Krauz uratował mu życie. Tadek urodzony w 1936 r. mieszka w Katowicach.

Po stronie niemieckiej byli: Bajaki, Majchrowie, Stefek Szemraj. Barbachowie byli po stronie niemieckiej, ale Henryk i Władek po rosyjskiej. Ojciec od sierpnia do stycznia był po rosyjskiej stronie. Z Jaśkiem Barbachem i służącym załadowali na wóz trochę jedzenia, jakieś ubrania, uciekali parowem do Sadłowic, a potem w stronę Pielaszowa. Tam zatrzymali ich żołnierze rosyjscy, zabrali konia i to, co było na wozie. Wrócić do Lisowa już się nie dało. Do stycznia byli w Gorzyczanach czy w jakiejś wsi obok. Zdążyliśmy tylko zobaczyć się z Ojcem i zginął.

Irena Pawlikówna, Dragan, rocznik 1931, wspomnienia wysłuchane.

Gdy przyszedł front 1944 r. mieszkanie nasze spaliło się; konie, krowy, świnie latały po łąkach; my uciekliśmy do wąwozu koło Lisicy. Mieszkaliśmy tam w wykopanych dołach dość długo, bo około dwóch tygodni; było tam pełno roba. W tym samym wąwozie były też rodziny: Zapałów, Lisiców i Mordków.

Potem uciekliśmy na stronę niemiecką i do zimy byliśmy w Adamowie koło Przeszyna u rodziny Łukasików. Z nami była rodzina Zapałów. Opowiadał mi Stefan po wojnie, że na wysiedleniu – po stronie rosyjskiej – ich też chciały pchły zjeść.

Henryk Wesołowski, rocznik 1933, wspomnienia wysłuchane.

W Lisowie byli wysiedleńcy z poznańskiego. Zнали język niemiecki i im kazali Niemcy powiadomić mieszkańców Lisowa, aby zeszli się w stodole Rzetelnego. Szliśmy w tym kierunku, ale tak bardzo padały pociski, że schowaliśmy się za skarpe u Sojów. Rumińscy wyszli z dołu na ziemniaki, ale Rumiński został jeszcze, żeby dać jeść zwierzęciu albo co, i trafił go pocisk na drodze. Gdy troszkę ucichło uciekliśmy do tej stodoły, ale tam nie było nikogo; tylko szpary po kulach. Uciekliśmy dalej do piwnicy Rzetelnych. Za niedługo przyleciał tam Józek Orłowski, ale już w tej piwnicy nie było miejsca i poszedł do piwnicy Grada. Powiedział, że na drodze leży Rumiński i trzeba Go sprzątnąć. Namówił do tego mojego Ojca.

W różnych miejscach leżały pozabijane zwierzęta; był sierpień i roznosił się okropny smród. Niemcy kazali poprzysypywać zwłoki, przysypano też Rumińskiego. Przy nim siedział mały biały piesek. Kiedy przyszliśmy po zimie, w miejscu gdzie był przysypany Rumiński, leżały też zwłoki psa. Podczas frontu uciekliśmy do Janowic pod Chobrzezanami. Najpierw mieszkaliśmy u teściów Barabasa. Było bardzo ciasno. Domowników było dużo, nas czworo, Barabaszów czworo, Żelazowscy, sześcioro Sojów, Stach Kilijański, Stach Czajka. Jeden na drugim spaliśmy. Stach Kilijański znalazł się z nami w Janowicach, bo szedł do stodoły Rzetelnych na polecenie Niemców. Był raniony odłamkiem w oko, na wygnaniu Ruscy robili mu opatrunki; goiło się to oko bardzo trudno; w końcu sam, zdaje się, wyciągnął sobie odłamek, ale oko stracił.

W czworakach też mieli bunkier, w którym był między innymi Stach Czajka. Podobno wyszedł powiedzieć „dzień dobry”, ale rosyjski żołnierz strzelił, ranił go w rękę i kolano. Po wyjaśnieniu, że nie był groźny, zabrali go ze sobą i opatrzyli na tyłach frontu. Tam jakoś dowiedział się, gdzie mieszka rodzina Barabaszowej i przywłókł się do nas.

Jakoś radziliśmy dopóki było ciepło. Jak zbliżyły się chłody, starsi zdecydowali, że trzeba wykopać bunkier. Bardzo pomógł nam w tym rosyjski – ukraiński żołnierz. Był zaopatrzeniowcem. Miał dwa silne, odporne, długowłose konie. Zorganizował chłopów, pojechali do lasu i przywieźli grubego drewna na budowę bunkra. Dowiózł też, nie wiem skąd, bardzo porządných desek na prycze. Mówi się, że Ruscy byli pijakami, a on się nigdy nie upił, choć chętnie wypił sztakana bimbru, który nasi robili z pozbieranych ziemniaków i buraków. Wołał nas do kuchni i nalewał rosółu łaju, który był bardzo pożywny. Żołnierze rosyjscy byli dla nas bardzo życzliwi; ja do dziś nie wiem, czy mieli nakaz tak nas traktować, czy to się brało z ich własnej dobroci czy litości.

W tej wielkiej biedzie szczęściem było, że Matka umiała robić mydło. Jaśka chodziła na piechotę do Sandomierza, przynosiła coś do jedzenia, sodę kaustyczną i skrawki tłuszczu do dalszego robienia mydła. Za kawałki tego mydła dostawały na wsi trochę mąki, kawałek chleba, trochę cukru.

W zimie Ruscy mówili, że „wnet będzie nastuplenie”. Noc poprzedzająca to „nastuplenie” była bardzo mroźna. We wsi było pełno żołnierzy rosyjskich. Czasem wpadał żołnierz do bunkra, żeby się choć trochę ogrzać. Rano nie było już żadnego żołnierza. Pusto. Tylko słychać było ogromny huk dział.

Zaraz kilku chłopów zmówiło się, że idą do Lisowa. W tym mój Ojciec. W Lisowie zobaczyli tylko sterczące kominy i połamane, opalone drzewa. Pozostało kilkanaście bardzo dobrze urządzonych bunkrów ponemieckich. Nic nie było. No to wzięli siekierę i poszli wyrąbywać buraki na niwie dworskiej. Działali te buraki i gotowali słodki syrop – melasę. Skąd wziąć chleba? Zbierali fasolę zbutwiałą, ale ugotowana i polana buraczanym syropem była bardzo dobra. Nie było nic, ale była radość, że żyjemy i jesteśmy u siebie. Latało się też za kulkami i karabinami, żeby postrzelać.

Karabinów było bardzo dużo; amunicji mało. Było polecenie żeby zdawać broń. Niektórzy przynosili do nas, bo ojciec był zastępcą sołtysa. My odnosiliśmy ją do sołtysa – Mierzyńskiego. Uzbierało się tego całe zapole. Przed oddaniem broni można było strzelać tyle, ile starczyło amunicji. Potem przyjechały samochody i broń wywieźli. Zaczęli przyjeżdżać żołnierze rozminowywać pola.

U Kmiecickich, Wesołowskich i Gumułów to jedyne domy, które częściowo rozwalone lub nadpalone ostały się w Lisowie po przejściu frontu.

Kazimierz Stępień, rocznik 1932, wspomnienia wysłuchane.

Front przyszedł hukiem armat, gęstej strzelaniny, rozrywających się pocisków. Pamiętam wielki odłamek, który upadł na nasze podwórko. U Kasińskich mieli piwnicę i tam było pełno ludzi. Nasza rodzina schowała się do dołu po ziemniakach. Żołnierz rosyjski kazał nam wynieść się na parę godzin w stronę Studzianek, bo tu będzie wielki bój. Uciekliśmy w sierpniu, a wróciliśmy nie za parę godzin, ale dopiero w marcu. Najpierw dostaliśmy się do Usarzowa, potem do Krobielic i Ossolina. W Ossolinie była zadaszona waga i tam dało się mieszkać dopóki było ciepło. Dwory były opuszczone, tego co zostało nikt nie pilnował, z pól niepozbierane ziemniaki, buraki, to mogliśmy tam pójść i sobie ukopać. Jak przyszło zimno, to trafiliśmy do Czerwińskiego w Węgrcach. To był grubszy gospodarz jak na tamte czasy, miał spore gospodarstwo, duże mieszkanie – kuchnia i ze trzy pokoje. W jednym pomieszczeniu my mieszkaliśmy wszyscy. Jak młócili końmi kieratem, to Olek pomagał przy tej robocie. Mieliśmy ze sobą krowę i to była dobra przytomność, żeby wziąć ze sobą krowę. Jak ruszył front zimowy, to Mama z Olkiem wrócili do Lisowa, ja poszedłem na służbę do Koprzywnicy, a siostra do Mierzanowic. Byłem tam niecały rok.

Najpierw mieszkaliśmy trochę u Chodurskich, bo u nas był tylko popiół. W tym czasie rozbieraliśmy bunkier ponemiecki, bardzo solidnie zbudowany; były na sobie trzy warstwy krokwiaków. Ściągaliśmy to drewno na wózku z kółkami od pługa. Tym wózkiem, z Olkiem, ciągnęliśmy z Mierzanowic do Lisowa dwa worki ziemniaków. Olek umiał dużo zrobić z drewna i to on zbudował pierwszą po froncie chałupkę. Zrobił też skrzypce i tak na nich grał, że się rozumiało co grał.

Bogusława Lisówna, Ziomek, rocznik 1939, wspomnienia wysłuchane.

Pamiętam, że przez wieś całą szły od Sadłowic tabory. Jako dzieci patrzyliśmy na to z zaciekawieni z za bzu. Zatrzymały się we wsi i sołtys miał obowiązek przydzielić po dwa, trzy wozy do każdego domu. Trzeba było nakarmić żołnierzy i konie pożywić. Nie pamiętam jacy to byli żołnierze, a nawet czy byli w mundurach. Ale dziś przypuszczam, że to były tabory niemieckie albo „własowskie”.

Pojawiały się oznaki, że idzie front. Ludzie zaczęli wyciągać z domu rzeczy i przenosić do dołów. Przesiedleniec z poznańskiego też pochował do dołów aparat fotograficzny i zegarki. Po powrocie z wygnania okazało się, że w tych dołach nic nie było.

Jak zaczął się front, to siedzieliśmy w piwnicy u Gumułów. Gdy ustawało trochę strzelanie, Mama szła do domu wydoić krowy, ale napiekła też chleba i przynosiła nam go po kawałku do mleka. Kiedy raz wracała od krów zobaczyła, że w dołach ziemniaczanych są żołnierze. To byli Rosjanie. Mama się bardzo przestraszyła, ale oni tylko poprosili o ten chleb i mleko i poszła dalej.

Raz stryj Cenek zabrał Włodka i mnie na śliwki. Od Studzianek poleciała seria karabinowa. Stryj przewrócił nas na ziemię, przykrył sobą i tak na bałyku doszliśmy do piwnicy. Z tej piwnicy musieliśmy uciekać i na piechotę szliśmy w stronę Wisły. Spadł mi jeden sandałek, ale się nie przyznałam. Trafiliśmy do Kołodziejowej, nie pamiętam nazwy wsi. Mieszkanie składało się z pokoju i kuchni. Miała czworo czy pięcioro dzieci i był z nimi dziadek. Te dzieci nie mały butów i potrafiły po lodzie ślizgać się boso. Miały jakąś grubszą skórę czy co? Spaliśmy na pryczy, którą zrobił Ojciec; my w nogach, rodzice w głowach. Na podłodze na rozesłanej słomie spali żołnierze w ubraniach, tak jak przyszli do domu. Co wieczór przychodził dowódca w mundurze i liczył żołnierzy. Brakowało mu dwóch. Włodek wypatrył, że oni wchodzą na noc na zapiecek i podpowiedział dowódcy. I tak było.

Pod drzewami stała kuchnia polowa. Lataliśmy tam z garnuszkami, by dostać coś do jedzenia. Kucharze kazali nam przynieść większy garnek i potem chodziliśmy z kanką, lali nam zupy do pełna.

Włodka szczególnie lubili, bo go wszystko interesowało i umiał majsterkować. Raz go nawet wzięli ze sobą, gdy zawozili jedzenie na linię frontu. Podobno było to akurat na granicy Lisowa. Tam była tak okrutna walka, że żołnierze schowali jakoś Włodka, ale on wrócił stamtąd tak wystraszony, że długo nie mógł dojść do siebie.

Na tym wygnaniu z nami był Szymon Kasiński z żoną. To było bezdzietne małżeństwo. Przed wojną byli na robotach we Francji. Stamtąd Szymonowa przywiozła bardzo ładny wyszywany serdaczek. Ruski ukradł jej ten serdaczek i nosił go – co zauważyła – pod mundurem. Poszła na skargę do jego dowódcy. On zamyslił się i mówi: „oj, budiet jemu, budiet...”, oj, budiet jemu, budiet...”. Ona pyta: „to co jemu będzie?”. Odpowiedział: „jemu budiet tiopło”. Po wielu latach gdy Szymonowa przychodziła do mnie do sklepu, wspominałyśmy tę historię jak mu „budiet tiopło”.

Z wygnania nie wróciliśmy prosto do Lisowa. Najpierw byliśmy w Opatowie u Piotrowskiego, brata Mamy. Była obora, w niej kuchenka i tam mieszkaliśmy chyba ze dwa lata. Mieszkał tam też drugi brat Mamy z Nikisiałki Małej. Majstrowali z Ojcem coś przy granacie, wybuchło i wybiło wujkowi oko. Ojcu na szczęście nic się nie stało. Gdy wróciliśmy do Lisowa postawiliśmy chałupkę, tak jak inni, przy drodze. Część mieszkalna była z drewna a część z tyłu, na oborę, z płyt które były zwiezione na jakąś budowę, a ludzie rozłapali je na własny użytek.

Gdy ciotki planowały małżeństwo Wicka z Żółciakówną, to przeznaczyły mu sporo ziemi. Ojcu zostały cztery hektary i zaliczał się do małorolnych. Mówił mi wtedy, gdy chodziłam do szkoły średniej, dołoż teraz głowy, żebyś dostała stypendium, to nam będzie trochę lżej. Stryja Cenka spłacili ze sprzedaży czterech morgów, które Mama dostała od swojego ojca. Resztę wyrównał, oddając Cenkowi pastwisko.

Nas było czworo: najstarszy Staś zmarł, potem Włodek, Basia też zmarła, a potem urodziłam się ja. Włodek zbierał i magazynował naboje i różne niewybuchy. Magazynował to w skarpie nad rzeką. Kazał mi przynosić je w fartuszkach. Potem przeniósł je do dziury w spróchniałej wierzbie. Ktoś, kto wiedział, że Włodek ma tam skład amunicji, podpalił wierzbę. Baliśmy się, że jak wybuchnie i kogoś zabije, to będzie na Włodka. Na szczęście próchno było wilgotne i wierzba tylko się tliła. Przenieśliśmy to wszystko do wykopu po wybranym piasku. Kiedy Włodek przyjechał na urlop z wojska, przeniósł to wszystko na Barbachowe pole i spowodował wybuch. Był tak silny, że wyleciała szyba z naszego okna. Mama wiedziała, że to Włodek zrobił i była przerażona, że go zabiło.

Włodek był bardzo odważny; nie bał się wysokości, wychodził na najwyższe punkty, założył elektrykę na wieży kościelnej. Kiedyś Stach Kilijański najął go do podcinania topoli. Ktoś go zobaczył na wierzchołku i doniósł Ojcu. Ojciec poszedł pod te drzewa i pokornie prosił go, żeby zszedł na dół. Wszystkie najwyższe topole w okolicy popodcinał. Jak na tym młynie naprzeciw nas zakładali odgromniki, to Włodek spokojnie i szybko po tym dachu latał, jakby to nie była żadna wysokość. Podpadł nauczycielowi i ten nie przepuścił go do następnej klasy i znaleźliśmy się w jednej klasie. Kazał mi się uczyć na głos wiersza i nauczył się pierw niż ja. Ojciec zdecydował, że ja będę uczyć się dalej, a Włodek zostanie na gospodarstwie. Nie odpowiadało mu to zupełnie i uciekł z domu. Poszedł do urzędu powiatowego w Opatowie, zmiękczył komuś tam serce, wysłali go chyba do junaków w Tarnowskich Górach; tam dokończył szkołę podstawową i skończył szkołę montera. Stamtąd poszedł do wojska. Ostatecznie pracował w Ostrowcu.

Wiesław Gumuła, rocznik 1939, wspomnienia wysłuchane.

Gdy przyszedł front schowaliśmy się do naszej piwnicy. Razem z nami przebywali w tej piwnicy: Wieczorkowie, Szwagierczakowie, Kasińscy, Lisowie i Stępniewie.

Ojca wzięli Niemcy na podwodę z rannymi do Stodół. Nie chcieli go puścić z powrotem z obawy, że przekaze rosyjskim żołnierzom informację o tym, co widział w Stodołach.

Kobyła miała źrebię, które zostało w Lisowie i wróciła do domu bez gospodarza. Wóz i uprząż zostały w Stodołach. Z piwnicy musieliśmy uciekać w nocy. Pamiętam to dobrze, bo była jasna noc, a ja (5 lat) potknąłem się o ruskiego żołnierza. Uciekaliśmy przez Sadłowice i Pielaszów aż do Gorzyczan. Mieszkaliśmy u gospodarza o nazwisku Czosnek. W jednej izbie mieszkali Dziadkowie, Rodzice i ja z siostrą Haliną. Na wygnaniu w Gorzyczanach umarł Dziadek Karol. Pochowano go w Chobrzeżanach i dopiero po wojnie przewieziono na cmentarz w Malicach. Ojciec ze Zdzisławem Orłowskim i innymi wypożyczonym koniem przywozili z pól buraki i robili bimber. Za bimber dostawali różne rzeczy od żołnierzy rosyjskich. Chodziłem do rosyjskiej kuchni, zwykle po południu, i dostawałem resztki jedzenia. Żołnierze byli dla nas dobrzy.

Po powrocie do Lisowa zastaliśmy rozebrany dom; ściany były rozebrane na budowę bunkra. Podobał mi się ten bunkier. Był solidny, z piętrowymi pryzcami i można było prosto z niego iść okopem daleko w pole. Piwnica była przystosowana przez Niemców na szpital. Ojciec wywiózł nas do Ostrowca do brata, a sam został w Lisowie reperować dom. Z Ostrowca wróciliśmy na pełne lato. Za sąsiadów mieliśmy po jednej stronie Szwagierczaków, po drugiej Kasińskich.

Okrutne losy frontowe są pamiętane także przez następne pokolenia.

Grażyna Orłowska, rocznik 1947, wspomnienia napisane.

Prawdziwa tragiczna wojna dla lisowiaków rozpoczęła się w sierpniu 1944 r. Był okres żniw, coraz głośniej dudniły armaty, zbliżał się front. Rosjanie przekroczyli Wisłę i pojawili się we wsi. Za niedługo znowu wrócili Niemcy. I tak na przemian. Ostrzał coraz większy, wszystko się paliło, płonęły domy i zwierzęta. Mama opowiadała, że już uciekając wróciła, aby jeszcze puścić skomlącego psa. To Rosjanie zarządzili ewakuację. Ludzie ruszyli przed siebie, tam gdzie nie gwizdały kule i nie ginęli ludzie. To właśnie w sierpniu zginęło w Lisowie wiele osób; między innymi mój dziadek zasypany w piwnicy. Rodzina nie mogła go nawet odkopać. Zginął także ojciec mojego ojczyma, Jan Stępień.

Babcia, Mama, ciotka Natałka z mężem i rocznym synkiem Zbyszkim uciekali piechotą z jakimiś niewielkimi tobołkami. Zabrali ze sobą stare zdjęcia. Zatrzymali się gdzieś nad Wisłą. Przetrwali zimę, odpracowując w gospodarstwie za udzielone wyżywienie i schronienie. Wrócili do Lisowa tak szybko, jak było to możliwe; już wczesną wiosną 1945 r. Wrócili do nieistniejących domów, pokaleczonych drzew, niewypałów oraz min na polach. Na wsi zostały się tylko budynki trzech rodzin: Chodurskich, Kmieckich i Gumułów.

Na pierwszą zimę, która nadeszła niektórzy sklecieli namiastkę domów, inni przezimowali w ziemiankach i bunkrach. Pierwsze domy w większości były kryte słomą, niektóre gacone na zimę też słomą zwykle łączono z oborami. Prawie że

nieodzowną częścią zabudowań były letnie kuchenki, w których gospodynie gotowały obiady i jedzenie dla zwierząt, od wiosny do jesieni. Były jak sklecone, najważniejszy był dach i kuchnia z fajerkami, a już niekoniecznie ściany.

Chłopi, tuż po powrocie, wyszli na pola. Mimo strachu uprawiali ziemię, przygotowywali do siewu. Zginął wtedy Józef Barbach, ojciec mojego sąsiada Stanisława Barbacha.

Specjalistą od rozbrajania min przeciwpiechotnych był mój ojczym, Józef Stępień. Pamiętam te małe drewniane skrzyneczki, zbierane nie tylko na jego polu, ale i na polach sąsiadów, jeszcze wiele lat po wojnie. Rozbrojone były palone pod kuchnią.

My, dzieci urodzone w czasie okupacji i latach tuż po wojnie, szukaliśmy i znajdowaliśmy na polach wokół domostw liczne kulki karabinowe i nieco mniejsze z zaokrąglonymi czubkami od pepeszy; a nawet całe magazynki. Wrzucaliśmy je do ogniska, a one wybuchały. Co odważniejsi czy nierozsądni skakali przez te ogniska, aby się wykazać. Pozostałości po różnego rodzaju broni, rozbitych maszynach, bombach służyły nam w wymyślanych zabawach. Ja z cioteczną siostrą Lidką uczestniczyłyśmy w tych zabawach. Za zbyt niebezpieczne zabawy chłopcy dostawali od ojców lanie. Pas do wymierzania kary, jeśli nawet nieużywany, wisiał prawie w każdym domu. Na szczęście nie dotyczyło to córek.

Dwa czołgi stojące na polach za stodołami saperzy wywieźli dopiero na początku lat pięćdziesiątych. Kolejny, zatopiony na łące między Lisowem a Studziankami, został zabrany jeszcze później.

Jerzy Kmiecicki, rocznik 1947, wspomnienia napisane.

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem działań wojennych do rodziny w Lisowie przybyli z Ożarowa Zofia i Wincenty Bieleccy. 29.07.1944 r. Zofia urodziła córkę Danutę. W momencie rozpoczęcia ofensywy dla całej rodziny w Lisowie schronieniem stała się wymurowana pod domem piwnica. Jednak nasilający się atak walczących ze sobą oddziałów niemieckich i rosyjskich i wielokrotne zmiany pozycji obronnych zmusiły rodzinę do opuszczenia Lisowa i udania się do rodziny Bakalarskich na Studziankach. Najbardziej niebezpieczny był moment przejścia przez pola za łąkami.

Niemcy okopani na tzw. pastwiskach ostrzeliwali uciekających z ciężkich karabinów i moździerzy. Dotarcie do celu wcale nie poprawiło sytuacji uciekinierów. Dom, a właściwie piwnica w pobliżu stanowisk niemieckich, zajęta przez uciekinierów. Największym problemem był brak wody i nadmiar osób, co szczególnie odczuwała Zofia Bielecka – osłabiona i gorączkująca po porodzie. Po kilku dniach chwilowego spokoju, wycofaniu się Rosjan i umocnieniu Niemców, Stanisław Kmiecicki zdecydował się pójść do swojego domu w Lisowie. Został zniszczone częściowo budynki, a w oborze niemal proszącą o litość ranną krowę. Niemiecki żołnierz, na jego prośbę, zastrzelił cierpiące zwierzę. Przed domem wśród klombów kwiatowych zobaczył świeży grób, prawdopodobnie zwiadowcy rosyjskiego.

Po powrocie na Studzianki zastał niekompletną rodzinę. Jego matka i brat Bronisław poszli w kierunku Sandomierza i dotarli ostatecznie do miejscowości

Trześnia, w której przebywali do wyzwolenia. Wobec bieżących kłopotów pozostała część rodziny zdecydowała się opuścić przyfrontowe Studzianki i udała się do Teofilii Gatkowskiej, siostry Walentego, w miejscowości Wszechświęte. Przebywali tam do wyzwolenia; o swoich najbliższych nic nie wiedzieli, podobnie jak ci pozostający w Trześni.

W rodzinnych wspomnieniach tego czasu dominowało uczucie utracenia pewnej sielanki, poznanie okrucieństwa wojny, a także nadziei, że to już więcej nie może się powtórzyć.

Stanisław Majcher, rocznik 1943, wspomnienia wysłuchane.

Moja Mama, Stefania Majcher ze Słowików, zginęła w czasie frontu, kiedy niosła mnie w stronę domu z dołów Kapturowych. Ciężko ranna zdołała donieść mnie do dołów, w których został mój Ojciec. Po śmierci Mamy dostałem wrzodów na brzuchu. Sprowadzony rosyjski lekarz powiedział, że niezbędny jest zabieg, który sprawił okropny ból. Na brzuszku zagnieździły się robaki. Przeżyłem. Wujek Maniek Słowik zrobił mamkę do karmienia dziecka z cholewy buta. Wychowywała mnie najpierw Babcia Katarzyna, a potem Wujek Maniek z Żoną. Dzieci własnych nie mieli.

Jerzy Rzetelny, rocznik 1942, wspomnienia wysłuchane.

Kiedy nasiliły się walki sierpniowe uciekliśmy: Mama, Halina – 5 lat, ja – 2 lata; Ojciec został jeszcze w Lisowie. Parowem do Sadłowic i w prawo na Studzianki dostaliśmy się do wąwozu w Męczennicach, przeżyliśmy tam jakoś dwa dni w dole ziemniaczanym i jak dołączył do nas Ojciec, dotarliśmy do Koćmierzowa, gdzie mieszkał brat Franciszka Rzetelnego. Na Wesołowce zmarła Babcia – żona Franciszka.

Całą wojnę, do wyzwolenia, przedulczyliśmy w Koćmierzowie. Tam też przez cały czas byli Janikowie i Stachy Rzetelne ze Sławkiem oraz kilkanaścioro miejscowych dzieci.

Kiedy front ruszył w zimie przenieśliśmy się do Opatowa i tam przekocowaliśmy prawie dwa lata w budynku pożydowskim. Ojciec robił co mógł, żeby nas utrzymać; trochę handlował, trochę pędził bimber i podejmował doraźne roboty.

Po powrocie do Lisowa zamieszkaliśmy w oborach, bo mieszkanie było rozebrane na niemieckie bunkry. Ojciec sklecił jakąś kuchenkę do gotowania; spały przy niej dzieci i ciotka. Ojce spali na strychu obory.

Zdzisław Rzetelny, rocznik 1946, wspomnienia wysłuchane.

W czasie żniw wracali z pola i ostrzał był tak silny, że musieli uciekać z domu. Uciekli do piwnicy Grada. To tam przy tej piwnicy Ojciec z siedmiomiesięcznym Sławkiem na ręku zawadził się o sztachetę i krzyczał przerażony, że zabił syna. Sławkowi nic się nie stało, ale zdarzenie pozostało w powszechnej pamięci wsi, po dzień dzisiejszy. W tej piwnicy raniona była Babcia. Rosjanie zabrali ją do szpitala polowego na Wesołowce i tam zmarła. Po wojnie znajomi

z Wesołówki poinformowali rodziców o miejscu jej pochówku, co dało możliwość przeniesienia Jej na cmentarz.

Po nasilającym się bombardowaniu razem z innymi rodzinami Rodzice uciekli do wąwozu męczennickiego. W wąwozie przebywali kilka dni. Ojciec przynosił mleko dla Sławka z najbliższego domu – Wójtowiczów. Potem uciekli do Koćmierzowa, do brata Dziadka. Tam nazbierało się dużo ludzi. Oprócz moich Rodziców ze Sławkiem przyszedł tam też stryj Józek z żoną, Haliną i Jurkiem, Janikowie pewnie z Gienkiem, Tejkowscy. To było za dużo ludzi, żeby mogli się wyżywić. Rodzice odłączyli się i poszli do Wierzb. Tam Ojciec zarabiał w polu, młócił cepami, a Mama robiła bimber z rozmrażanych buraków i sprzedawali go na pobliskim jarmarku i ruskim żołnierzom.

Po powrocie do Lisowa zastali tylko piwnicę i studnię. Ojciec poszedł na łąkę, naciął gałęzi, zrobił szałas, przykrył bitylami ziemniaczanymi i tak na razie mieszkali. Gdy padał deszcz uciekali do piwnicy. Potem postawili dom jednoizbowy połączony z oborą, z pustaków zrobionych samodzielnie przy łące. Pustaki powodowały wilgoć w domu i Ojciec obłożył ściany cegłą, która jednak się rozlasowała. W tej izdebce mieszaaliśmy w pięć osób: rodzice, my ze Sławkiem i dziadek. Dziadek był chory, musiał mieć lepsze miejsce i pierzynkę, a my jak popadło. Dom obecny rodzice postawili dopiero w latach sześćdziesiątych, tak jak i twoi.

Wincenty Kilijański, rocznik 1951, wspomnienia wysłuchane.

Walki frontowe w 1944 r. zastały moich rodziców, tj. Józefa Kilijańskiego i Helenę z domu Mądry z Sadłowic, przy pracach żniwnych. Zostali brutalnie wyrzuceni z domu przez żołnierzy rosyjskich. Uciekli do Chodurskich, tam byli Niemcy i wysiedlili rodziców do Koszyc. Ojciec starał się wrócić do Lisowa, aby zabrać jakieś niezbędne rzeczy. Złapany został przez Niemców i razem ze Stanisławem Wojciechowskim z Sadłowic wywieziono ich do Niemiec. Mieli pracować w niemieckim gospodarstwie rolnym. Zdecydowali się na ucieczkę w przebraniu kobiecym. Ojciec dotarł do rodziny w Koszycach; opowiadał potem dzieciom, że gdy wrócili do Lisowa po przejściu ofensywy zimowej, zastali wszystko spalone i żywili się głąbami zamrożonej kapusty znalezionymi na polu. Sprzęt rolniczy wykorzystali Rosjanie, budując barykady przed atakującymi Niemcami.

Zaraz po wojnie przyjeżdżała do Lisowa córka siostry mojej Mamy, Aleksandra Poppek, rocznik 1941, do dziś wspomina: zapamiętałam Lisów cały spalony. Stały tylko kuchenki letnie ze sterczącymi kominami nakryte wiaderkami lub garnkami.

Stach Mierzyński, Tadeusz, Jan i Marysia Chodurscy w różnych latach powojennych odwiedzali miejscowości, w których byli na wysiedleniu. Nie było już tam żywej pamięci tamtych dni i miesięcy.

Lista osób z Lisowa, które zginęły podczas przejścia frontu w 1944 r. i od niewybuchów w latach powojennych:

- Adamczyk Zbigniew,
- Barbach Józef,
- Barabasz Agnieszka,
- Kasiński Paweł,
- dziecko Adama Lisicy,
- Majcher Stefania,
- Miśkiewicz Stefan,
- Orłowski Stanisław,
- Rumiński Józef,
- Rzetelna Franciszka,
- Stępień Jan,
- Wasińska Teofila,
- Wesołowski Stanisław.

Lista osób z Lisowa rannych podczas przejścia frontu w 1944 r. i od niewybuchów w latach powojennych:

- Barbach Tadeusz,
- Czajka Stanisław,
- Kilijański Stanisław,
- Lisica Adam,
- Wołek Wiesław.

Nauczyłem się i zapamiętałem, że wojna oznacza śmierć, okrucieństwo, zniszczenia, głód, wszy i uwalnia ciemne strony ludzkiej natury. Tymczasem dowiaduję się, że podobno premier mojego kraju w towarzyskiej rozmowie oznajmił, że wojna ułatwia zarządzanie oczekiwaniami, powoduje mniejszy nacisk na podwyższanie płac i świadczeń socjalnych; wywołuje wzrost wydajności pracy. Wicepremier zaś powiedział publicznie, że wojna oprócz zniszczeń wszelakich kształtuje męstwo i patriotyzm.

Przypomnijmy głos poetów:

Wisława Szymborska
„Koniec i początek”

Po każdej wojnie
ktoś musi posprzątać.
Jaki taki porządek
sam się przecież nie zrobi.

Ktoś musi zepchnąć gruzy
na pobocza dróg,
żeby mogły przejechać
wozy pełne trupów.

Ktoś musi grzęznąć
w szlamie i popiele,
sprężynach kanap,
drzazgach szkła
i krwawych szmatach.

Ktoś musi przywlec belkę
do podparcia ściany,
ktoś oszkląć okno
i osadzić drzwi na zawiasach.

Fotogeniczne to nie jest
i wymaga lat.
Wszystkie kamery wyjechały już
na inną wojnę.

Mosty trzeba z powrotem
i dworce na nowo.
W strzępach będą rękawy
od zakasywania.

Ktoś z miotłą w rękach
wspomina jeszcze jak było.
Ktoś słucha,
przytakując nie urwaną głową.

Ale już w ich pobliżu
zaczną kręcić się tacy,
których to będzie nudzić.

Ktoś czasem jeszcze
wykopie spod krzaka
przeżarte rdzą argumenty
i poprzenosi je na stos odpadków.

Ci, co widzieli
o co tutaj szło,
muszą ustąpić miejsca tym,
co wiedzą mało.
I mniej niż mało.
I wreszcie tyle co nic.

W trawie, która porosła
przyczyny i skutki,
musi ktoś sobie leżeć
z kłosem w zębach
i gapić się na chmury.

Bułat Okudźawa
„Trzy miłości” (fragm.)

*Pierwsza wojna – pal ją sześć,
to już tyle lat,
druga wojna – jeszcze dziś
winnych szuka świat*

*a ta trzecia, gdy wtem
wtargnie w nasze dni –
winien będziesz ty,
winien będziesz ty...*

Łódź, grudzień 2018

Adres mailowy autora: kror1@wp.pl